Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 11 września 1938 r. Nr. 37

Zaloty...



MARIA REUTT

POD OBUCHEM POSĄDZENIA

(Dokończenie)

Szli czas jakiś brzegiem rzeki, następnie ulicą podgórną wyszli na plac 3-go Maja, a stamtąd na główną ulicę Marszałka Piłsudskiego.

Była sobota — szabas. — Ulicami ciągnęły tłumy Żydów. Strojne, wymalowane Żydówki, na Amerykanów ucharakteryzowani Żydzi i wypieszczone jak małe laleczki żydziątka płci obojga.

Mijając ich, przeciskając się przez ich zwarte szeregi ustawicznie obijał się Natalce o uszy język rosyjski. Mówiły nim postrojone Żydówki, sepleniły w tym języku małe dzieci, rozprawiali głośno na Amerykanów ucharakteryzowani kupcy i przemysłowcy żydowscy.

Doznawało się wrażenia, że czas się cofnął o lat 17, że nie był to rok 1930, ale smutnej pamięci 1914 i nie polskie to było, a rosyjskie wróciło panowanie i że polityka ówczesna rządu rosyjskiego spędziła tu z Rosji wszystkich Żydów litwaków, by w potokach rusycyzmu, zalać, zatopić polski język, polskie pochodzenie tego kraju, polskiego ducha.

Gdy wreszcie wydostali się na wolniejszą przestrzeń placyku gimnazjalnego Natalka sarknęła.

— To oburzające, żeby Żydzi dotychczas nie nauczyli i przyzwyczaili mówić po polsku, po 11 latach istnienia Polski!

— Nie nauczyli się, bo nie chcą, bo lekceważą sobie Polskę, bo ufają polskiej pobłażliwości, bo widocznie w głębi serca wierzą, że Moskale wrócą tu i wtedy mogliby ich prześladować, bo wreszcie naród ten uznaje tylko przemoc, knut, to szanuje i poważa, a ludzkość i wyrozumiałość uważa za słabość i lekceważy je.

— Polska!, co tam Polska, wszystko przebaczy i zapomni i Wilno i Pińsk i Białystok i dużo, dużo innych zdrad i konszachtów z wrogami i ciągłe knowania komunistyczne i arogancję, więc po co się liczyć z takim krajem. Polsce wystarczy parę nic nie znaczących frazesów, napisanych w „Naszym Przeglądzie" jakieś nieobowiązujące oświadczenie lojalności, wyrzeczone przez mało znaną osobistość żydowską, które potem można anulować, gdyby zaszła tego potrzeba, umyć ręce jak Piłat od osoby mówcy i od samej mowy.

Przed samym magistratem natknęli się na dwie zażywne Żydówki w bogatych futrach i kapeluszach z rajerami.

Na widok Juliusza twarze obu kobiet rozjaśniły się, a szerokie usta rozciągnęły w najuprzejmiejszym uśmiechu.

— Ach, Juliuszu Osipowiczu, jak się cieszę, że was spotykam — zaszczebiotała młodsza z nich po rosyjsku, wyciągając do niego rękę. — A to pewno wasza młoda żonka — spytała, przyglądając się natarczywie Natalce.

— Tak — odpowiedział Juliusz — podając rękę obydwom — ale ona po rosyjsku nie rozumie.



Podczas swego pobytu w Berlinie admirał Horthy odwiedził w towarzystwie posła węgierskiego Sztojay'a instytut węgierski i Collegium Hungaricum w Berlinie

— Jak to? — zdziwiły się szczerze — chyba cudzoziemka?

— Nie, Polka, ale rosyjskiego się nie uczyła.

— Nie może być? — dziwiły się, zgorszone, że ktoś w Polsce może nie umieć tego języka.

— Niech jej pan wytłumaczy, że my nie proste Żydówki, a krewni „kniahini" i z kniaziem za pan brat do stołu siadamy — wdzięczyła się do Juliusza młodsza.

— Dziękuję, wytłumaczę.

Uchylił grzecznie kapelusz i skierował się do bramy wejściowej.

— Co to za jedne? — dopytywała się, gdy szli schodami do sali obrad.

— Ta starsza to matka, a młodsza córka. Są to kuzynki księżnej N.

— Książę ożenił się z rosyjską Żydówką. Mieszkają w Warszawie, a tutaj rządzi majątkiem w ich imieniu ta właśnie Żydówka z matką. Obydwie nie umieją, czy też udają, że nie umieją po polsku. Wobec tego naturalnie we dworze i w majątku roi się od Żydów oficjalistów, urzędników, pośredników, rozbrzmiewa mowa rosyjsko-żydowska.

— Boże, jakie to smutne — szepnęła Natalka, wchodząc na salę.

Sala była prawie pusta. Gdzieniegdzie siedzieli lub stali panowie, ziewając dyskretnie. Kilku urzędników z magistratu, kilku kierowników szkół, paru profesorów gimnazjum, dyrektor Polskiego Banku, zastępca dyrektora Banku Rolnego, dyrektor szkoły rzemiosł, naczelnik kasy skarbowej, jeden sędzia, jeden adwokat, jeden doktór, weterynarz powiatowy, paru obywateli, dwie żony urzędników magistrackich i kilku wojskowych.

Przy stoliku na wzniesieniu zasiadła władza: starosta, dowódca garnizonu, zastępca dowódcy, komisarz policji, prezydent miasta no i inżynier projektodawca. Nastrój panował sceptyczny i apatyczny, wśród zebranych snuła się nuda i brak zainteresowania się. — Czyj to projekt? Jakiegoś Szpakowskiego? Ach tego nowego inżyniera, co to dopiero niedawno przyjechał. Czego on się tak rozpiera?

Minął kwadrans, drugi, a liczba osób nie zwiększyła się.

Starosta, zamieniwszy kilka słów z dowódcą garnizonu i burmistrzem wstał i chrząknął dwa razy znacząco.

Umilkły rozmowy, zebrani czym prędzej zajmowali miejsca.

Starosta, przeczekawszy aż ucichło się zupełnie, zaczął swą mowę.

Rozpoczął od przypomnienia zebranym o wiekopomnych zasługach Pana Marszałka Piłsudskiego i o tym skromnym hołdzie wdzięczności, jaki okazać mu może Wjunogród przez postawienie pomnika.

Skończył oklaskiwany gorąco.

Wszyscy czuli tak samo, tego samego byli zdania.

Stanął przed zebranymi sam projektodawca.

Jeszcze raz podkreślił wielkość osoby i zasługi Pana Marszałka i w gorących, poetycznych słowach wzywał zebranych i cały Wjunogród do zespolenia się i postawienia pomnika własnymi siłami.

— Niech to będzie najskromniejszy, ciosany z kamienia, lub odlany z żelaza, najtańszy, ubożuchny, ale niech świadczy o naszej wdzięczności i przywiązaniu do tego Odnowiciela i Wskrzesiciela Polski — wołał z zapałem. — Wszyscy damy, ile będziemy mogli. Moi robotnicy, każdy z nich zgłosił pierwszą daninę ,po złotówce, a jeżeli będzie potrzeba to dadzą więcej i jeszcze raz dadzą. Jestem pewien, że nikt nie odmówi — bogaty, czy biedny, robotnik, czy inteligent, każdy złoży chętnie choćby najmniejszy datek na tak wielki cel.

Skończył, potoczył zwycięskim okiem po zebranych i siadł.

dzięki pułkownikowi wszystkie jego obliczenia wzięły w łeb, wszystkie marzenia o poparciu, odznaczeniach rozwiały się jak mgła poranna na pobliskich błotach.

Nie przeczuwał nawet ,że i pułkownikowi chodziło o to, że projekt pomnika wyszedł nie od niego i nie chciał dopuścić, by jakiś tam mizerny cywil mógł figurować jako projektodawca, a nie on... dowódca garnizonu. Musiał mu wyrwać cugle z rąk, musiał przyswoić sobie zasługę tego pomnika. Trzeba było najpierw pogrzebać całą sprawę, by ją wskrzesić na nowo, ale już przez niego samego, podać tam, gdzie się opłaciło jako swoją myśl, wypływającą z głębokiej wdzięczności i miłości ku Dziadkowi.

— — — — — —

Mam wrażenie ,że z tego pomnika nic nie będzie — mówiła Natalka do Juliusza, gdy wracali do domu.

sek szanownej trójki postanowili opodatkować się na budowę pomnika Wielkiemu Wodzowi Polski. I pomnik ten stanie za parę tysięcy.

— Przecież to jasne, że Wjunogród, gdzie tyle jest biedoty i bezrobotnych, nie będzie w stanie zebrać sześćdziesięciu tysięcy i by pogrzebać cały projekt zaprotestowali przeciw stawianiu czegoś skromnego i taniego.

— Przekonasz się o trafności mych domysłów za dwa lata, a może i wcześniej.

Odprowadził ją do domu, a sam zawrócił do klubu.

— Nie czekaj na mnie ,wrócę późno.

— — — — — —

Wielkanoc tego roku wypadała bardzo późna.

Natalka otrzymała nad wyraz uprzejme, prawie serdeczne zaproszenie od hra-

Podniósł się z miejsca wolno, dostojnie dowódca garnizonu, pierś wypiął dumnie naprzód, rękę założył za mundur po napoleońsku i wciągnąwszy w płuca głęboko powietrze zaczął:

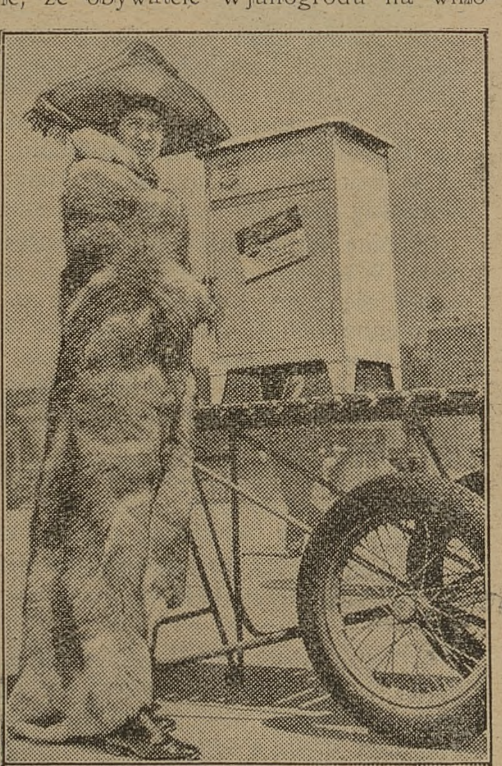
— Poprzednicy moi jasno wykazali konieczność postawienia pomnika Naszemu Najukochańszemu Wodzowi i Bohaterowi, nie będę więc powtarzał ich słów, tym bardziej, że jestem tego samego przekonania i zdania i jak prawdopodobnie i wszyscy tu zebrani. Ale mimo to nie zgadzam się ze zdaniem obecnego tu, szanownego pana inżyniera Szpakowskiego, który utrzymuje: że „niech on będzie najskromniejszy, byle był..." Nie, pomnik, który postawimy Naszemu Wodzowi Najukochańszemu musi być odpowiednikiem Jego zasług. Musi kosztować dziesiątki tysięcy. Lubiniec zapłacił za swój 30 tysięcy, nasz musi kosztować dwa razy tyle, musi bić z niego wielkość naszej dla niego czci i uznania i majestat Jego geniuszu. Na inny pomnik zgodzić się nie możemy. Ja pierwszy protestuję. Musimy wyłonić z siebie komitet z sekcją finansową, która by zajęła się zebraniem odpowiednich funduszów i gdy uzbieramy znaczniejszą sumę, przystąpimy do rozpisania konkursu na projekt pomnika i dopiero po zatwierdzeniu projektu będziemy mogli przystąpić do budowy.

Usiadł dumny z siebie.

Inżynier dusił się z bezsilnej złości. Ten pomnik to był jego projekt, wylęgły w ciszy bezsennych nocy. Pomnik ten miał być szczeblem drabiny, wiodącej do odznaczeń i dobrej posady, stosunków, a tymczasem

— Na razie nic, bo staroście, burmistrzowi i pułkownikowi nie na rękę, że to nie oni wystąpili z tym projektem, a ten nieznany, świeżo przybyły do Wjunogrodu inżynier.

— Odłożą go ad acta na razie, a po roku, dwóch doniosą władzom w Warszawie, że obywatele Wjunogrodu na wnio-



Na oryginalny pomysł wpadł pewien przedsiębiorca z Texasu (St. Zjednoczone). Postanowił on w przeciągu kwartału sprzedać Eskimosom na Alasce sto małych lodowni!

biny Stolińskiej, by koniecznie przyjechała do Ostaszewicz na święta z mężem lub sama.

Odpisała bardzo uprzejmie, że przyjmuje zaproszenie i przyjedzie sama, gdyż mąż musi być u rodziców.

— Pisała do mnie hrabina, zaprosiła nas na Święta. Przyjęłam zaproszenie, ale tylko dla siebie, bo przypuszczam, że nie ciągnie cię w tamte strony.

— Nie, ale ty jak chcesz, możesz jechać i na jak długi czas, będziesz chciała. Nie potrzebujesz krępować się mną — odpowiedział.

— — — — — —

W Wielki Czwartek rozjechali się oboje. Ona w lewo, on w prawo.

Na stacji czekał na nią zaprzęg hrabiowski — powóz i para koni. Ze zdumieniem zauważyła matkę, przechodzącą się po peronie.

— Dowiedziałam się od hrabiny, że przyjeżdżasz, więc przyjechałam po ciebie — oznajmiła, całując córkę. — Zabieram cię do siebie. Nie wypada, żebyś z pominięciem rodzonej matki przyjeżdżała do obcych ludzi. Rozmawiałam o tym z hrabiną, przyznała mi rację. I tak już ludzie dziwili się, że nie było was na ślubie. Wyciągali z tego różne niekorzystne dla mnie wnioski. Hrabina przyśle po ciebie do U-rocznej .

Z bólem serca i przykrością wielką siadała Natalka do powozu hrabiowskiego.

Że też jej życie stale gotowało przykrości i zawody — myślała z goryczą.



Osiem najsłynniejszych gwiazd filmowych przybyło ostatnio do portu Plymouth (Anglia). Po bliższym jednak zbadaniu okazało się, że są to „doubles" — zastępcy przy mniej ważnych scenach filmu. Na zdjęciu „gwiazdy" podczas przechadzki na pokładzie statku. Od lewej: Bing Crosby, Zasu Pitts, Mae West, Joan Crawford, Loretta Young, Hugh Herbert, Geta Garbo, Marlena Dietrich — skopiowani z oryginałów

Na ganku dworu w Urocznej czekały na nią dziewczynki i pan Klemens, który pocałował ją aż dwa razy w rękę.

Dziewczynki o mało nie zadusiły jej przy powitaniu i nie chciały się z nią rozstać. Przytulone do jej ramion oprowadzały ją po ogrodzie, podwórzu i zabudowaniach.

Dworek był mały, pięciopokojowy, ale stał w dużym ogrodzie, otoczony stuletnimi lipami. Był to dworek szlachecki, prawdopodobnie kiedyś dawno odkupiony od jakiego zbankrutowanego obywatela, dla zaokrąglenia lub wyrównania granicy dóbr. Pan Klemens był bardzo gościnnym gospodarzem, wydawał się zakochany w swej żonie i odnosił się życzliwie do pasierbic.

— Boże, jaki on młody — myślała Natalka siedząc naprzeciw niego przy kolacji.

— Na pewno o jakie dziesięć lat młodszy od mamy, tylko że mama tak młodo wygląda!

— — — — — — —

Natalka spała długo, chcąc uniknąć towarzystwa matki i ojczyma. Wstała o dziewiątej i owinięta w szlafrok weszła do jadalni. Panował tam nieład właściwy przygotowaniom do święconego. Stały placki, babki, mazurki, jaja, cukier, farby. Na małym stoliczku pod oknem było dla niej przygotowane śniadanie: miód, bułka, samowar.

Zjadła prędziutko i wyniosła się cicho, by jej kto nie usłyszał, nie przeczuł jej obecności. Zaledwie zdążyła się ubrać, gdy wpadły bliźniaczki, były bardzo zajęte i zaaferowane.

— Natalko, konie z pałacu są. Pani hrabina przysłała po ciebie.

— — — — — — —

Hrabina usprawiedliwiała się przed Natalką:

— Nie mogłam odmówić matce pani. Przyjechała do mnie z płaczem, że pani ma być u mnie, a nie przyjechała do niej na ślub. Nie mogłam nie przyznać jej racji. Wiem, że panie nie bardzo zgadzają się ze sobą, ale zawsze to matka i ma do pani prawa przed innymi.

— Niestety, rodzice nie wybierają sobie dzieci, a przeznacza je im los — zauważyła Natalka z goryczą.

— Panie rzeczywiście są tak różne — powiedziała hrabina, przyglądając się wytwornej sylwetce stojącej przed nią dziewczyny.

— Czasami mam wrażenie, że niepodobieństwem jest, bym była jej córką — przyznała się szczerze Natalka. — Nie rozumiemy się, nie zgadzamy ani charakterami, ani usposobieniem, ni zapatrywaniami. Może w tym dużo i mej winy. Mam taki nieznośny charakter — zakończyła smutno.

Hrabina uśmiechnęła się z powątpiewaniem. Wiedziała ona coś niecoś o zachowaniu się pani Romy i miała o niej wyrobione zdanie. Zato dziewczynę tę lubiła, choć właściwie powinna była czuć do niej niechęć. Ale miała takie dobre serce i wrażliwą, współczującą naturę i kochała męża bezgranicznie.

Chodziły po parku, siedziały w buduarku hrabiny, oglądały nowe dzienniki i tygodniki, poszły odwiedzić psy i konie.

Gdy odjeżdżała, hrabina prosiła ją, żeby po świętach przyjechała do nich na parę dni.

— Teraz kiedy pani zatrzymała się u matki i spędzi z nią święta, nie będzie ona już więcej czuć się pokrzywdzoną. Mąż mój wraca z synem dopiero jutro po południu, było by mu przykro, gdyby się z panią nie zobaczył.

Wracając od hrabiny wstąpiła na cmentarz. Smutno o tej porze przedstawiał się ten wiejski ogród umarłych, nieogrodzony, bezdrzewny. Małe, niezarośnięte mogiłki, z drewnianymi spróchniałymi krzyżami, pochylającymi się ku ziemi w żałobnym zaniedbaniu. Wiało od nich smutkiem i opuszczeniem.

Z łatwością znalazła grób ojca. Wyróżniał się on dużym dębowym krzyżem, pomalowanym na czarno i drewnianym ogrodzeniem. Uklękła i ucałowała ziemię, pod którą spoczywały ukochane szczątki.

— Ciebie już nie ma tatusiu, a świat został ten sam i życie płynie jak zwykle, jak od wieków, nawet tym, którzy tobie zawdzięczają życie.

Płakała cicho z tęsknoty za tym prawym człowiekiem, któremu los nie dał nic prócz samozaparcia się i pracy.

— — — — — — —

W pierwszy dzień Świąt państwo Klemensowie urządzili wielkie przyjęcie, pierwsze od dnia ich ślubu. Stoły uginały się pod ciężarem jadła i napojów.

Przez dłuższy czas zjeżdżały się bryczki i bryki z gośćmi. W przedpokoju rozlegały się ustawicznie pocałunki, słowa powitania, śmiech.

Bliźniaczki śliczne jak cherubinki w swych białych sukniach i błękitnych kokardach w jasnych włosach, kręciły się swobodnie wśród gości. Panie całowały je w główki, panowie podnosili do góry i cmokali głośno w policzki. Każdy z przybyłych przyglądał się z ciekawością wytwornej sylwetce Natalki, bezwiednie wyniosłej i niedostępnej: — Psiakrew, hrabianka — przebiegło niejednemu przez myśl, gdy schylał się nad jej ręką. — Nic w niej z matki, wdała się w swego hrabiowskiego ojca — osądzały panie. W swej gładkiej jedwabnej sukni, przybranej tylko u szyi białym kołnierzem, z chmurną zadumą w oczach odbijała od tego wesołego, świątecznie nastrojonego tłumu.

Była jakby zabłąkana w inne, obce sobie towarzystwo.

— Wyładniałaś — powiedziała doktorowa, całując ją w twarz, jako, że znała ją od dziecka — tylko dlaczego ta pogrzebowa mina. Nie pasuje ona wcale młodej mężatce. A twój mąż czemu nie przyjechał?

Poczerwieniała. Każda wzmianka o jej małżeństwie wprowadzała ją w zmieszanie.

— Pojechał do rodziców. Musiał tam jechać, bo ma jakieś ważne sprawy do załatwienia, a ja obiecałam mamie, że na Święta przyjadę, nie chciałam jej zrobić zawodu — skłamała z wyrazem przykrości w oczach.

Przy święconem siadał gdzie kto chciał i jadł co chciał, a było w czym wybierać: prosięta, szynki, indyki, półgęski, kiełbasy.

Jedli ze smakiem, zakrapiając obficie alkoholem. Stopień wesołości i gwaru podnosił się z minuty na minutę. Co chwila ktoś wznosił kieliszek i proponował coraz to inny toast, cisnąc się koło pani domu, którą obcałowywali panowie po rękach aż po ramię, mocno wydekoltowanej sukni, trzymającej się tylko na wąskiej wstążeczce naramiennika. Niby to broniła się, a oczy jej świeciły zadowoleniem.

Mama w swoim żywiole — pomyślała Natalka, przyglądając się tłumowi mężczyzn, który kotłował się i kręcił koło „pięknej pani Romy".

— Pani Natalko, wypijmy „bruderschaft" — rozległ się koło niej głos pana Klemensa. — Mężem twojej matki jestem, jakoś wypada zaprzyjaźnić się.

Przyjęła podany kieliszek. Mogła gorzej trafić. Pan Klemens miał pewną ogładę towarzyską i robił wrażenie, że w gruncie rzeczy złym nie był, prędzej lekkomyślnym.

Podniosła wino do ust.

— Kocham twoją matkę, kochałem ją zawsze — szeptał zmartwiałym głosem. — Zabójstwo to okropna rzecz, ale młody Banasiuk przysłużył mi się, zabijając twego ojca, inaczej bym jej nie dostał.

Natalka ze znudzeniem słuchała jego pijackich zwierzeń, ale przy ostatnich jego słowach drgnęła gwałtownie i wino polało się na ziemię.

— Jakto Banasiuk — przerwała mu. — Jaki Banasiuk?

— Kłusownik Banasiuk, on to wygarnął z rewolweru do twego ojca...

— Skąd pan wie? — dopytywała się gorączkowo.

Ale on już nic więcej nie chciał powiedzieć.

Zdołała wycisnąć z niego jeszcze tylko jedno słowo:

— Widziałem —.

Uczta skończyła się późno, a w Natalkę jakby inne, nowe życie wstąpiło. Śmiała się razem z innymi, tańczyła, żartowała, uśmiechała się przyjaźnie nawet do matki.

— — — — — —

Szarzało, gdy rozjechali się goście. Pan Klemens był tak pijany, że upadłszy na kanapę w stołowym pokoju, usnął natychmiast i chrapał na różne tony na całe mieszkanie.

Natalka po wyjeździe gości wyszła do ogrodu i tu, chodząc po mokrych od rosy ścieżkach, przeżywała raz jeszcze całe swe młode życie, odkąd sięgała pamięcią.

— Jeżeli to jest prawda, że ojca zabił Banasiuk!... Boże daj, żeby to było prawdą. — modliła się bezładnie.

I cała groza tragedii stanęła znów przed nią, przesuwała się wolno przed jej oczami jak w kalejdoskopie, coraz to innymi obrazami dzieciństwa.

— — — — — —

Serce biło jej trwożnie.

Co będzie, jeżeli słowa pana Klemensa okażą się prawdziwe. Czym ona mu wynagrodzi ten rok lekceważącej pogardy i potępienia.

Jak ona mogła przypuszczać, że on zdolny był zabić człowieka znienacka, z tyłu, zdradziecko. W świetle tego odkrycia bladła jego wina w jej oczach, malała, powszedniała. Romansował z jej matką, to było okropne, ale czy on pierwszy? Przecież bez jej upoważnienia nie robiłby tego...

Przypomniała sobie te wszystkie ostre słowa, te nieprzyjazne spojrzenia, te wrogie myśli i żal wielki ogarniał ją teraz i współczucie dla niego.

I on za swoją lekkomyślność zapłacił bardzo ciężko, bo zerwaniem z Niusią,



Dziewicze brzozy

Dziewicze brzozy, srebrne korą,
Liść sieją złoty w szmaragd traw.
Przez sieć gałęzi modrą morą
Prześwieca nieba skłon i staw.

Pogodą rana lśni polana.
Cisza opieszcza smukłość drzew,
Dygotem liści roztrzepana,
Źdźbła trawy kłoni lekki wiew.

Tak cicho jest i słodko wszędy
I tak przedziwny wokoło świat,
Jakbyś przed chwilą przeszła tędy,
Musnąwszy trawy skrajem szat.

Leopold Staff.

tą śliczną, miłą elegancką panną, przy której ona wyglądała jak kopciuszek.

Nie zrobiła mu krzywdy tym, że ożenił się z nią. Uratowała go od więzienia, procesu i skazania na długie lata. Przecież gdyby była zeznała, że on był w sieni w chwili strzału, że ojciec rzucił się na niego z chęcią mordu w sercu i w oczach, los jego byłby przesądzony. Popełniłaby okropną rzecz, wydałaby na śmierć najniewinniejszego człowieka, opierając się tylko na zbiegu okoliczności, ale pozory wszelkie były przeciwko niemu.

I duszę dziewczyny ogarniała skrucha tak wielka, że w niej stopniała wszelka uraza do Juliusza, wypaliło się do cna w jej mózgu wspomnienie jego flirtu z matką.

— — — — — —

Usnęła późno, nad ranem, gdy dziewki szły do dojenia krów, a parobcy poili konie. Rozbudził ją szczebiot bliźniaczek, kręcących się po pokoju.

Spytała je, czy pan Klemens wstał.

— O, już dawno! — odpowiedziały. — Był na folwarku, a teraz pije herbatę. Mamusia jeszcze śpi. Teraz mamusia wcześnie wstaje, nie tak jak dawniej. Tatuś — bo tak nazywały pana Klemensa — nie pozwala mamusi wysypiać się, gniewa się...

— Klemens to nie tatuś — pomyślała Natalka — da jej szkołę — pomyślała ze złośliwą uciechą. On na pewno i na flirty nie zostawi jej czasu. Oduczy ją. Takie natury wymagają, owego przysłowiowego „bata" Nietsche'go.

Ubrała się prędko i przeszła do jadalni.

Na jej widok pan Klemens, pożywiający się, jakby to wczoraj nie był pierwszy dzień świąt i jakby od dwóch dni pościł, zerwał się z krzesła.

W świetle dziennym wydał jej się bardzo młody.

— Młodszy od matki i o wiele — przypomniała sobie. — Na pewno ma nie więcej nad trzydzieści lat.

— Panie Klemensie — zagadnęła go, gdy usiedli przy stole — wczoraj wieczorem wspominał mi pan, że wie na pewno, iż Banasiuk, kłusownik, zabił mego ojca. Niech pan mi szczerze powie całą prawdę.

— Et, co u trzeźwego w myśli, to u pijanego na ustach — sarknął zły sam na siebie za gadulstwo, ale opowiedział jej szczerze wszystko, co wiedział w tej sprawie. — Tego wieczoru, gdy zabito pani ojca, w leśniczówce bawił mąż pani. Nie przypuszczałem, że on przychodzi do pani. Zakochany w Romie, posądzałem każdego młodego mężczyznę, że się do niej zaleca. Ojca pani nie było w domu. Zjadał mnie demon zazdrości. Mając zabroniony przez panią wstęp do domu, krążyłem niby opętany koło leśniczówki, nie mogąc zebrać się na odwagę by wejść, a siły odejść. Natknąłem się na Banasiuka. Szedł do leśniczówki. Nie zwróciłem na ten fakt specjalnej uwagi, bo wiedziałem, że zaleca się on do służącej, gdyż nie raz przedtem widziałem, wracając z leśniczówki, jak z nią w krzakach rozmawiał i żartował. Zauważyłem jednak, że wyszedł prędko z domu i zaczaił się za drzewem niedaleko ganku, ale i to nie zdziwiło mnie. — Aha, widocznie Chryści nie ma w kuchni, więc schował się przed nią. Aż tu drogą od pałacu nadjechał ojciec pani. Schowałem się i ja za drzewo, bo nie chciałem być zaskoczony w tak głupiej sytuacji. Widziałem, jak sanie odjechały, a zza drzewa skradającymi krokami Banasiuk podążył na ganek i usłyszałem strzał. Kiedy strzelał nie widziałem, ale zobaczyłem go, jak zeskoczył z ganku i uciekał, rzuciwszy broń koło bramy. Nie czekałem i ja, a zawróciłem spiesznie do miasteczka. Nie chciałem, aby mnie zobaczono, by na mnie nie padło podejrzenie. Każdy myśli przede wszystkim o swojej skórze, o swoim bezpieczeństwie,

— I nie poszedł pan na policję, nie zeznał tego co widział, nie wskazał na Banasiuka, jako na sprawcę, a pozwolił, że podejrzenie padło na niewinnego człowieka.

— Wzruszył ramionami obojętnie, nie przejęty zarzutami.

— Kłusownicy to niebezpieczny naród. Wydałbym jego, a jego przyjaciele wpakowaliby mi kulkę w łeb. Usłyszawszy o zeznaniu pani, wolałem tym więcej milczeć. Gdyby na pana Juliusza padło rzeczywiście podejrzenie, gdyby mu więzienie groziło, to wtedy naturalnie, że nie zawahałbym się ani chwili, ale gdy nic podobnego nie zachodziło, po co miałem kłaść palce między drzwi, żeby mi je kto przyskrzynił.

— I co się stało z tym Banasiukiem? — dopytywała się gorączkowo.

— Podobno uciekł do Bolszewii. Jeżeli pani ciekawa jego losów, proszę się wybrać do Topca i zapytać o szczegóły Chryści, ona służy w leśniczówce nadal.

— Ale skąd on mógł dostać rewolwer? — głowiła się.

— Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym. Mógł kupić, lub ukraść. Kłusownik zna tysiące sposobów na bezprawne kupienie lub zdobycie broni.

W Natalce rozpaliła się gorączkowa, niecierpliwa chęć zobaczenia Chryści, pomówienia z nią.

Ubrała się w sportowy, krótki kostium, grube, nieprzemakalne buciki i wyszła. Znała drogę do leśniczówki, odległej zaledwie o pięć kilometrów od folwarku, poszła więc pieszo.

Szła prosto, potem przez las, następnie w prawo i wyszła na polankę, wśród której zbudowana była leśniczówka.

Gdy zbliżyła się do znajomej tak dobrze sobie bramy, zgraja psów podwórzowych przywitała ją głośnym ujadaniem.

Na hałas szczekania wyjrzała zza domu Chryścia. Ujrzawszy Natalkę skryła się z powrotem, by za minutę wybiegnąć z ogromnym kijem w ręku. Odpędziła psy, odryglowała furtkę i wprowadziła Natalkę na podwórze.

— Panieneczka moja — wołała ucieszona dziewczynka. — Ot, niespodziewała się ja, że spotka mnie dziś taka radość powitać panienkę.

Zaprowadziła ją na ganek.

— Pana leśniczego nie ma — oznajmiła.

— Ja do ciebie Chryściu — powiedziała Natalka, siadając na ławeczkę.

— Powiedz mi szczerze, Chryściu, skąd Banasiuk wziął rewolwer, którym zastrzelił pana leśniczego?

Dziewczyna zbladła. — To panienka wie?

— Wiem, Chryściu, chodzi mi tylko o to, skąd on rewolwer wziął?

— „Choroba jeho trasła", zbójnika jednego — wykrzyknęła. — Młodemu panu z palta wyjął. Przyszedł do sieni i z kieszeni wziął.

— Czy on ci to mówił — dopytywała się Natalka.

— On, sam, diabeł przeklęty. Ot coś przed Bożem Narodzeniem przyszedł do mnie pijany i mówi: „Obiecywał ja tobie żenić się, a ot nie mogę. Muszę uciekać w świat.

Ja do niego:

— Gdzie? za co?

A on:

„Człowiekam niewinnego ubił. Twojego pana, bo bardzo już mi po piętach deptał. Młodemu panu rewolwer wziął z palta, co wisiało w sieni i wystrzelił. Myślał, że nic nie odnajdą, nie odkryją, a ot policja od tego czasu ciągle za mną chodzi. Nie mogę tu dłużej żyć, do Rosji pójdę. Tam swojaków mam". — I poszedł i słuch o nim przepadł.

— Paniusiu droga, tylko ty mnie nie wydaj, bo jego bracia mścić się będą. I oni nie lepsi od niego. Wiadomo kłusowniki, leśni ludzie...

— Nie wydam cię Chryściu — i tak już na nic się to zda. Życie ludzkie nie wskrzesi się, jego z Bolszewii nie wydadzą. Niech nasza krzywda na jego duszę padnie. Bóg go na pewno ukarze za nas, bo jak świat stary każda krzywda ludzka zostaje czy wcześniej, czy później pomszczona.

— Chciałabym dom zobaczyć.

— A można. Pan leśniczy wróci późno, ale i tak nie miałby nic przeciwko temu...

Otworzyła drzwi i wprowadziła Natalkę do sieni.

Zawiało pustką i opuszczeniem. Leśniczy był kawalerem, zajmował tylko kancelarię i stołowy pokój. Reszta mieszkania stała pustką, albo leżała tam uprząż, worki ze zbożem, wianki cebuli.

Inni ludzie, inne porządki. Ten tak lubiany dworek zmienił swój wygląd. Zrobił się obcy.

— — — — — —

Natalka wróciła do domu po paru dniach. U hrabiny zabawiła tylko dzień pomimo gorących szczerych zaprosin, by pobyła chociaż z tydzień.

Pędziło ją do Wjunogrodu pragnienie rozmówienia się z Juliuszem.

— Nie może przykuwać go dłużej do siebie, musi zwrócić mu wolność.

A sama? Ona wyjedzie za granicę do konserwatorium, a może na uniwersytet do Szwajcarii. Do dwudziestego roku ma zapewnioną pomoc z zapisu hrabiny, a także 15 tysięcy złotych, będzie więc miała za co się kształcić i podróżować.

Cichutko szczęknął zamek, cichutko skrzypnęły drzwi wejściowe, jeszcze cichsze kroki zaszurały w przedpokoju.

Juliusz zajęty pisaniem skryptu na dzień jutrzejszy nie zwrócił uwagi na te szmery, dopiero gdy usłyszał swe imię odwrócił się.

Przed nim stała Natalka w płaszczu i kapeluszu, ta sama, a jakaś inna. Nie była już ta chłodna, niedostępna, lodowato-zacięta Nemezis.

Biło z jej źrenic ciepło i łagodny smutek i jakieś pokorne zdanie się na jego łaskę.

— Przyjechałaś? — ucieszył się, wstając od biurka.

Zdjął z niej palto i podsunął jej krzesło, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

— Przyjechałam, Juliuszu — powiedziała cicho, opierając się o poręcz fotelu — by ci powiedzieć, że możesz być wolny każdej chwili.

— Wolny? — powtórzył zaskoczony.

— Tak, wolny. Nasze małżeństwo przecież nie było prawdziwym w słowa tego znaczeniu małżeństwem, więc rozwód dostaniesz z łatwością i... będziesz mógł ożenić się z Niusią — dokończyła ciszej.

— A ty?

— Ja... ja... zająknęła się — ja... pojadę na uniwersytet, albo do konserwatorium...

— A jeżeli ja nie zgodzę się na rozwód, nie zechcę go?

Wpatrzyła się w niego oczami rozszerzonymi zdumieniem. Nie rozumiała nic. Przecież kochał Niusię!

— Nie zechcesz być wolny? Nie chcesz ożenić się z Niusią?

— Nie...

— Dlaczego? — Zdumienie bezgraniczne drżało w jego głosie.

— Bo kocham cię! — padło między nich, wymówione twardo, dobitnie.

— Nie... krzyknęła głosem nabrzmiałym łzami, jakby się broniła przed znaczeniem wypowiedzianego zdania. — Nie możesz mnie kochać. Przecież ja jedna zarzuciłam ci morderstwo, wierzyłam, żeś zabił mi ojca, rzucałam ci ustawicznie w twarz to oskarżenie.

— A ja się nawet bronić nie mogłem — dokończył za nią smutnie.

— Wierz mi Juliuszu, że mnie to bardzo boli dziś, gdy wiem, że to nie ty zrobiłeś — mówiła przez łzy.

Podsunął jej krzesło, posadził ją na nim prawie przemocą, sam bodaj czy nie bledszy od niej.

— Opowiedz mi wszystko, wyjaśnij znaczenie twych słów — prosił biorąc ją za rękę.

Wśród łez, głosem przerywanym od łkań opowiedziała mu i rozmowę z ojczymem i wyjaśnieniem Chryśki.

— Ale skąd on wiedział, że miałeś rewolwer — zastanowiła się.

— Bardzo proste wyjaśnienie. — Kiedyś, idąc przez las spotkałem człowieka ze strzelbą na ramieniu w łapciach i szarej świtce. Zaczepił mnie sam rozmową. Pytał skąd jestem, co tu robię i czy się nie boję sam wieczorami chodzić po lesie. Wdałem się z nim w pogawędkę, ponieważ dwa razy spotkałem go w obrębie leśniczówki. Pytałem o niego twej matki, odpowiedziała, że stara się on o względy służącej, że jest to syn gospodarza z sąsiedniej wsi. Uprzedziła mnie twoja matka, że podejrzewają, iż trudni się on kłusownictwem, choć go nikt na tym jeszcze nie złapał. Na jego pytanie, czy się nie boję chodzić wieczorami po lesie, odpowiedziałem mu pokazaniem rewolweru, który zawsze odbezpieczony trzymałem w kieszeni, idąc przez las.

Nachylił się nad siedzącą i próbował zajrzeć jej w oczy. Spuściła głowę jeszcze niżej, palce jej nerwowo skubały materiał sukni.

— No, a teraz gdy opadło ze mnie to okropne podejrzenie, gdy wiesz, że nie byłbym zdolny do czegoś tak potwornego, teraz Natalko, czy mogę mieć nadzieję, że zostaniesz przy mnie dobrowolnie, że nie rzucisz mnie, — pytał przytrzymując jej palce. Twarz Natalki poczerwieniała, palce zacisnęły się na ręce Juliusza w odpowiedzi.

Podniósł jej rękę do swych ust i przywarł wargami do niej. Nie pytał o więcej, nie wymagał przysięgi lub obietnic, gdy ona nagle błysnęła uśmiechem.

— Ale ja ciebie nigdy nie zdradzę...

KONIEC.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Monarchowie, którzy abdykują, są słabi lub pod!i! Trzeba ,aby Maksymilian zrozumiał wielkość swego obowiązku, trzeba, aby się wyzwolił ze swych ponurych przeczuć, wprowadzających go w stan beznadziejnego przygnębienia i pogardliwej obojętności na wszystko.

Siła jest w walce, w walce bezwzględnej, cierpliwej, upartej; siła jest w zgodnym związku suwerenów, w bezgranicznej miłości Karoliny, w jej pomocy uczuciowej i moralnej, którą musi wspierać swego męża. Siła jest w umocnieniu osłabłej energii i zachwianego autorytetu; trzeba aby Maksymilian powrócił do swej małżonki, która tak dzielnie broni jego sprawy! Słaby, chwiejny, targany wątpliwościami cesarz, czyni sobie czasem gorzkie wyrzuty, przeklina pieszczoty pięknej ogrodniczki i przysięga sobie, iż więcej jej nie zobaczy, by całkowicie powrócić do Karoliny, do swej niezwykłej żony. Wtedy staje się lepszy, silniejszy, budzą się w nim iskierki dawnej wielkiej miłości i Karolina karmi się wówczas nadzieją, iż panowanie Habsburgów w Meksyku zostanie utrwalone przez ciągłość dynastii, bez której tron nie może istnieć.

Mijają dnie; misja belgijska wyjechała w dniu 4 marca w specjalnie przygotowanych dyliżansach. Hrabia d'Alcantara i Leon de Dorlodot woleli odbyć podróż konno. Ciężkie, otwarte powozy wolno się toczą po niebezpiecznych drogach cesarstwa. Generał Minon, na którego cesarz włożył obowiązek eskortowania delegacji, siedzi obok majora Altwiesa w pierwszym dyliżansie, tworzącym awangardę orszaku. Drogi i ścieżki biegną niekończącym się pasmem przez góry i opadają gwałtownie ku brzegom Atlantyku.

W La Guerita dyliżans przystaje przed barierą, która się wolno otwiera i wówczas podróżnicy zwracają uwagę na podejrzany wygląd sześciu jeźdźców meksykańskich, eskortujących dyliżans. W Rio de Frio, gdzie czekają rozstawne konie, podróżnicy na chwilę wychodzą z dyliżansu, by rozprostować nogi. W ogólnej rozmowie przebija jakaś niejasna obawa. Młody baron d'Huart, pełen niepokoju, wchodzi na dach dyliżansu, zaprzężonego w dziesięć mułów. Ruszają. Tajemnicza eskorta postępuje w pewnym oddaleniu aż do wąwozu Barranca de Juarez, gdzie trzech jeźdźców schodzi z koni, reszta pozostaje w tyle, opuszczając dyliżans, z trudem wspinający się pod górę. Nagle na szczycie wzgórza grupa dwudziestu bandytów, czy też powstańców Juareza atakuje wóz. Twarze napastników są ukryte pod maskami. Rozlegają się wystrzały. Kapitan d'Huart pada, ugodzony pierwszą kulą. Major Altwies zostaje zraniony w rękę i lewe ramię, kule podziurawiły mu płaszcz i kapelusz, porucznik Marchal dostaje postrzał w prawe ramię, druga kula drasnęła mu pierś; ładunek drobnego śrutu obsypuje twarz generała. Po chwili Belgowie reagują, major Altwies, z szablą w dłoni woła, by odeprzeć atak. Rozbrzmiewają krzyki. Przerażony generał Minon pełznie w głąb dyliżansu i kryje się pod ławką, podczas gdy oficerowie belgijscy walczą z bronią w ręku. Major Altwies broni się jak lew i nagle rzuca okrzyk, który płoszy napastników: „Escortas". Bandyci, przypuszczają, iż drugi dyliżans nadciąga z eskortą, opuszczają pole walki i giną w gęstwinie.

Drugi dyliżans przezornie się jednak schronił przez ten czas. Jeden z Niemców eskorty potwierdza tchórzostwo. Wszyscy spieszą do kapitana d'Huart. Przeszło godzinę trwa powrót do Rio de Frio, gdzie nadaremnie szuka się lekarza. Należy wezwać doktora, zamieszkującego o 16 mil; zawiadomiony telegraficznie cesarz przybywa pospiesznie ze swym przybocznym lekarzem. Niestety za późno! Huart umiera wskutek braku pomocy lekarskiej. Cesarz powraca do stolicy z rannym szefem misji.

W dniu 7 marca odbywa się pogrzeb d'Huarta w katedrze San Germino. Cesarz odwiedza rannych i stara się wyjaśnić smutny incydent. Ósmego marca generał Minon zostaje zdegradowany w następstwie czego przyłącza się do powstańców. Zaaresztowano 21 Indian, podejrzanych o udział w napadzie. Dwóch świadków rozpoznaje czterech z pomiędzy napastników, stwierdzając, iż widzieli ich okrwawionych w czasie walki. Energiczne śledztwo usiłuje wykryć i odpowiednio ukarać winnych.

Wiadomość o napadzie zaalarmowała Europę. Oto dowód bezsilności Cesarstwa Meksykańskiego! Cesarz to tylko postać operetkowa, skoro nie jest nawet w możności zapewnić bezpieczeństwa oficjalnym delegacjom! Cały kraj to jedna wielka jaskinia bandytów, gdzie Maksymilian utrzymuje się jedynie dzięki bagnetom francuskim!

Cesarz zaś nie tylko nie może gwarantować za życie europejskich delegacji, ale nawet nie ma wpływu na orzeczenie sądu wojennego, który po kilku miesiącach śledztwa zwalnia 13 winnych „z powodu braku dowodów". Również zostaje umorzona sprawa przeciw czternastemu obwinionemu, który, jak stwierdzono, zabił barona d'Huarta. Zapoznawszy się z tym nieprawdopodobnym wyrokiem, cesarz wpada w straszliwy gniew i daje natychmiastową dymisję prezesowi sądu. Spacerująca samotnie w parku Chapultepec, Karolina gorzko opłakuje schyłek władzy monarszej, a 29 czerwca poseł francuski de Thun pisze do swego władcy, Napoleona III, iż nikt już nie wątpi w nieuchybny upadek cesarza, interesując się tylko tym, jakie następstwa pociągnie za sobą ten wypadek.

Co należy czynić teraz w tym zamieszaniu, które w rzeczywistości jest tylko wynikiem nieładu? Cesarzowa Karolina usiłuje podtrzymywać męża na duchu i wzmocnić jego autorytet; powoli jednak odsuwa się od niego, pogrążona w smutnych rozmyślaniach. O zmroku płynie pirogą po ciepłych wodach jezior, pośród ukwieconych wysp pływających, na których stoją Indianie, stwarzając w wieczornym cieniu złudzenie, iż to wszyscy bogowie indyjscy tu się zwołali, by wywrzeć zemstę na białoskórych zdobywcach i wziąć odwet za wszystkie zbrodnie Corteza i jego następców.

Zamyślona, samotna cesarzowa zanurza rozpaloną dłoń w chłodnej wodzie jeziora, w jej młodym ciele tętni gwałtownie gorąca krew. Wspomnienie okropnej nocy w Yukatanie przesuwa się jak widmo, lecz nie trzeba wracać myślą w przeszłość. Karolina chce myśleć o jutrze, o tajemnicy przyszłości, jaką nosi w swym łonie, o cudownej istocie, która się wkrótce z niej narodzi i skupi w sobie wszystkie nadzieje dynastii, a może przyniesie ocalenie przed zbliżającym się upadkiem.

XII.

W maju 1866 roku świta jeszcze promyk nadziei utrzymania monarchii meksykańskiej, mimo iż wszystko wydaje się stracone; wkrótce jednak nie ma już wątpliwości, że los Cesarstwa jest przesądzony.

Maksymilian wysyła do Europy Eloina, powierzając mu misję skłonienia Napoleona III do dotrzymania zobowiązań i przekonania dworu francuskiego, iż cesarz dokonał w Meksyku więcej niż to było w jego mocy, podczas gdy Bazaine przyczynił się haniebnie do wszystkich klęsk.

Niestety, Maksymilian dowiaduje się niebawem, iż nie może absolutnie liczyć na pomoc Napoleona, o czym pisze mu jego sekretarz w liście z czerwca 1866 roku: „Sir, nie można już mieć żadnych złudzeń; nie tylko cały rząd, w którym pokładałem jeszcze pewne nadzieje, ale nawet jego najwyższa władza pod presją opinii publicznej, chyli głowę i niegodnie opuszcza tego, który w dobrej wierze, zbyt długo ufał obietnicom i uroczystym zobowiązaniom".

W tym samym liście Elion twierdzi, iż pomimo wszystko sytuacja nie jest jeszcze groźna, gdyż w rzeczywistości armia francuska przynosi więcej szkody niż pożytku monarchii meksykańskiej i radzi cesarzowi, by czym prędzej się uniezależnił od obcej pomocy, co pozwoli mu umocnić swą władzę w Meksyku. Niestety, rzeczywistość była zupełnie inna i Karolina lepiej niż ktokolwiek zdawała sobie z tego sprawę.

Czas upłynął, nie przynosząc żadnego zewnętrznego poparcia suwerenom Meksyku. Ostatnie posunięcie: wysłanie do Europy d'Almonta, potwierdza ostateczną klęskę. Napoleon III. daje wyraźnie do zrozumienia w swym piśmie, iż wszystkie mosty są spalone i że nie należy dłużej liczyć na pomoc Francji. Memoriał swój kończy konkluzją:

„Nadszedł czas, kiedy Meksyk musi sam zwalczyć wszystkie trudności, wznosząc swój patriotyzm na wysokość okoliczności jakie go teraz nękają. Wszystkie ataki, zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, skierowane przeciw obecnej formie rządów, ustaną z pewnością z chwilą, gdy państwo będzie się broniło samodzielnie i staną się bezsilne wobec ścisłego związku monarchy z ludem, utrwalonego wspólnie przeżytymi troskami. Jego Cesarska Mość Maksymilian i naród meksykański okryją się honorem dokonania w jednomyślności dzieła cywilizacji, którego pierwszym poczynaniom nie szczędziliśmy opieki i zachęty, co pozostanie na zawsze naszą dumą".

Następne dni przynoszą coraz gorsze wiadomości. Dywizja generała Mejia zostaje doszczętnie rozbita przez wojska powstańcze pod dowództwem generałów Escobedo i Cortina. Bazaine zbytnio nie przejmuje się tym drobiazgiem, a cesarz pisze od niego w czerwcu: „Wiadomość o rozbiciu dywizji Mejia zaskoczyła mnie i głęboko zmartwiła. Pokładałem w tych dzielnych żołnierzach wiele nadziei na przyszłość... Ufam jednak, iż doświadczenie pana podyktuje mu dalsze kroki i proszę o przysłanie mi planu kampanii, która by naprawiła to nieszczęście i przywróciła spokój w niesfornych departamentach".

W poszczególnych prowincjach dzieją się niesłychane rzeczy. Pomoc udzielana Juarezowi przez ludność, wskazuje jasno na zwycięstwo buntowniczych elementów i na wzrastającą popularność powstańców, wspieranych przez Amerykanów. Ci sami Indianie, którzy tak obojętnie odnosili się do zagadnień rządu, stali się nagle gorącymi zwolennikami Juareza. Nie można już liczyć na pomoc ludności cywilnej. Całe bataliony opuszczają armię cesarza, by przejść na stronę nieprzyjaciela. We wsiach, nieliczni zwolennicy Maksymiliana boją się ukazywać, gdyż Juarez jest bez litości, a prowincje z dnia na dzień przechodzą z jednej władzy do drugiej. Nawet obecność monarchów i ich świty nie może już pobudzić zalęknionej ludności, która wie, iż Francuzi opuszczają Meksyk i że dni cesarstwa są policzone.

W czerwcu 1866 roku odbywa się w San Angelo jakaś uroczysta inauguracja, na którą cesarz postanawia się udać wraz z małżonką. Władze miasta zostały uprzedzone o przybyciu monarchów i ministrowie liczą na to, iż obecność Maksymiliana umocni w okolicy jego zachwiany autorytet. Konsul belgijski Hoorick przyłącza się do orszaku cesarza. Pociąg sunie wolno wśród rozległych dolin, rozwierających się jak przepaść. Piekielny żar pali wyniosłe wzgórza. Wszystkie drzwi wagonu są otwarte dla przewiewu, lecz duszne nieruchome powietrze płynie wciąż upalną falą. Powiew wachlarzy nie chłodzi rozpalonych ciał i zmęczonych oczu. Karolina przez cały czas podróży milczy i rozmyśla smutnie o doznanych porażkach. Nadaremnie usiłowała z uśmiechem na ustach skłonić ochotników belgijskich do pozostania, nadaremnie prosiła Maksymiliana, by mężnie pożegnał jej odjeżdżających rodaków, cesarz nie umiał opanować się i w oczach jego widniała straszliwa niepewność i trwoga. Karolina, wiedząc dobrze o tym, iż wszyscy zdają sobie sprawę z ogólnego bankructwa oraz zbliżającego się upadku, obawia się plotek i komentarzy tam w Europie; myśli o tym, co będą mówić na dworach, myśli o dziecku, które nosi pod sercem i dla którego trzeba wszystko przezwyciężyć.

Cesarzowa przebiega myślą miniony czas pobytu w Meksyku, wspomina swe uniesienia i upadki ducha, myśli z goryczą, iż przecież włożyła całą siebie bez reszty w realizację zadania nakazanego przez serce i sumienie. Za przymkniętymi oczami przesuwają się obrazy tego czarodziejskiego kraju o oszałamiającej zieleni, nieznanych kwiatach, różowych indyjskich lepiankach, o bezceremonialnej poufałości dam dworu, zdradliwych ministrach, nieprzezwyciężonym lenistwie służby dworskiej, złej woli kleru, nienawistnej chciwości obszarników, stratach armii francuskiej; wszystko przechodzi, wiąże się, krzyżuje, łączy w ogrom nieszczęścia.

Błąd Maksymiliana i Karoliny leżał w niezrozumieniu przez nich tego, iż monarchia musi być oparta na zasadzie ścisłego zjednoczenia panujących z możnymi przeciw słabym. Cesarz i jego małżonka chcieli odwrócić to nierozwiązalne równanie; chcieli oprzeć się na słabszych, by przeprowadzić dzieło sprawiedliwości. To ich kosztowało drogo. Teraz piekielne potęgi zła zjednoczyły się przeciw nim. Partie nie bawią się w idealizm, mają na widoku jedynie swój własny interes; od wieków obce mniejszości wykorzystywały bestialsko przewagę swej rasy. Szkoda, iż Maksymilian i Karolina byli zbyt szlachetnymi suwerenami!

Wszystko to dręczy bezlitośnie serce zasmuconej Karoliny. Po obu stronach pociągu przesuwają się piękne egzotyczne krajobrazy, stacje tonące w krzewach orchidei, różowe lepianki, w których w czasie przejazdu cesarza Indianie śpią!

Indianie, ci dzielni Indianie! Oni tylko zasługują na sympatię wśród tej całej, niegodnej ciżby. Wszak tyle wycierpieli, utracili swe rodziny, swe dobra; hiszpańscy właściciele haciend tak ich umęczyli, iż zanikło w nich zupełnie poczucie rzeczywistości. Przez nich państwo przybrało nieludzkie oblicze, stało się krajem kradzieży, lynchu, mordu, wyzysku, alkoholizmu. Rząd to żandarmi na usługach okrutnych obszarników, policja to służba bezlitosnych bogaczy, prawa są ustanowione po to, by ochraniać dostatek tuczący się zbrodnią. Cóż za znaczenie ma panowanie tego lub innego władcy; panowanie Maksymiliana, jasnowłosego Habsburga czy też rządy Juareza, nieubłaganego Indianina? Wie się to czego się nie rozumie, czego nie należy wiedzieć, wie się, iż po burzy następuje huragan.

Wczoraj był Zulcaga, potem Benito Juarez, potem spisek w Guadajara przeciw Juarezowi, potem zjawił się Degollado, zmuszając Juareza do ucieczki do Nowego Orleanu; następnie Miramon zwyciężony przez Marqueza w Tacubaya, gdzie rozstrzeliwano liberałów; wreszcie Ortega i Zaragoza, którzy w Silao pobili Miramona.

Kto był najlepszy z tych wszystkich generałów, co przechodzili przez bezbronne wsie, łupili biedne chaty, gwałcili kobiety, męczyli dzieci, mordowali mężczyzn. Cierpieć z Mirakonem czy też z Juarezem lub Maksymilianem, to wszystko jedno, zawsze będzie to tylko cierpienie. Tyle razy ich okłamano,

Ciąg dalszy na str. 733.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

WIECZORY LIPCOWE

Czy pamiętasz te nasze wieczory lipcowe,
Rozpachnione miodami dookolnych zbóż?
Te wieczory najcichsze, jasne, księżycowe?
Minęły bezpowrotnie i — nie wrócą już!...

Na polach pustka — smętek się snuje dookoła.
Wszystko minęło bez śladu — jak sen.
Przeszłość jeszcze chwilami mami, nawet woła,
Aby iść gdzieś daleko, hen!...

Po co? Czyż można zawrócić bieg czasu?
Czy zbiegłe dni powrócą znowu do nas?
Nie. Szkoda trudu, szkoda prób i hałasu —
Szczęście uśmiecha się do nas tylko raz!

Ono nie zawraca nigdy z drogi.
Wciąż idzie tylko w przód.
A gdzie stąpnie, nikną ciernie, głogi,
Topieliska bólów — zostaje jeno płytki bród...

Adam Czekalski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

ŻYCZĘ POWODZENIA!

„Teli". Przyjmuję Cię do „Rodzinki", życzę w niej powodzenia i zamieszczam komunikaty: „Zwracam się z uprzejmą prośbą do Samotnej Włościanki" o skreślenie do mnie kilku słów i donoszę, że właśnie jestem z Bydgoszczy. Tak chciałabym mieć dobrą, kochaną duszyczkę, któraby mię zrozumiała! Zapewne Pani jest niezbyt oddaloną od Bydgoszczy? Również pragnęłabym nawiązać nić przyjaźni z innymi „Krainiakami". Jeśli ktoś z Państwa ma trochę dobrej woli, to bardzo proszę o słów kilka. Pierwsza nie mam odwagi pisać, jestem strasznie nieśmiała, a dużo osóbek spośród „Rodzinki" podoba mi się ze swych wierszyków.

Pani Maria Zemmlerówna i „Biała Uajali" — gdybym mogła, a Panie nie przeczyłyby, to wycałowałabym za te piękne wiersze, ślę pozdrowienia.

Cieszyłabym się bardzo otrzymaniem czegoś od „Białego - Kwiatu" — podobał mi się „Smutek".

Lubię ludzi i wiersze, gdyż jest w nich coś głębszego. Czy mogę liczyć?

H. S. S. — „Bądź blisko" podobało mi się, takie życiowe.

Wszystkim Czytelnikom i Czytelniczkom ślę pozdrowienie znad Brdy! Piszcie do mnie!



Oto „Nieszczęśliwa Niniusia", jedna z nowych „Krainianek".

NIE ZWRÓCILI UWAGI

„Bogda". Jak z tym projektowanym przedstawieniem i zabawą leśną — powiedz mi, Dzieciko? Pogoda w tym miesiącu kiepska, więc mało jest nadziei na to, aby zabawa w lesie mogła się udać. Jeżeli jednak przeprowadziliście konsekwentnie swój zamiar, to przyślij mi zdjęcia — dużo ich będzie?

Nie wiem, dlaczego nikt nie napisał do Ciebie — może nie zwrócili „Krainiacy" baczniejszej uwagi na maleńką „Bogdę". Ale to jeszcze nie straszne dla Ciebie, bo nieuchronnie uczynią to teraz.

Posyłam Ci życzliwy uścisk dłoni i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Rewelers". Dziękuję za pozdrowienia. Byłam w Gdyni, ale niestety, nie wiedziałam, że marynarze z „Daru Pomorza" należą do „Krainy". Bylibyśmy porozmawiali — szkoda! Pozdrowienia i uścisk dłoni!

„Dyktator". Pozdrawiam! Może Pan skrobnie do mnie?

„Fred". Podoba mi się Pan. Chętnie zatańczyłabym z Panem czarującego walczyka — przepadam za tańcem.

„Honorata". Bardzo lubię obszernie korespondować, może by Pani pierwsza napisała? Czekam i serdecznie pozdrawiam!

„Te - Em". Śliczne są Pana wierzyki. Może byś i mnie coś poświęcił?...

Śliczne pozdrowienia dla całej „Krainy"!

Dlaczego nie macie odwagi pierwsze napisać? Proszę bardzo, zróbcie jednak początek, a ja się zrewanżuję!

„Samotny — Chorzów I" — bardzo przyjemnie by mi było otrzymać od Pana mały liścik. Czy mogę poprosić? Jest Pan pierwszym organizatorem zjazdu, prawda? I jak się Pan wybierze, czy rowerem, samochodem, a może samolotem?

„Helusienko" — w jakiej miejscowości pod Gnieznem byłaś na wakacjach? Przesyłam miłe pozdrowienia i prośbę o jakiś znak.

„Kropelko leśnej rosy" i „Reno z Kujaw" — znam was! Przyjmijcie szczery uścisk rąk.

„Samotna Włościanko" — czy byłoby Pani przyjemnie nawiązać ze mną korespondencję, gdyż z polecenia Pani Zosi pragnęłabym to uczynić.

Wszystkim, którzy piszą śliczne wierszyki w „Krainie" ślę wiele pogodnych uśmiechów i szczere uznanie. Dla „Marzenki w Ameryce", pozdrowienia z oddali!"

JESTEM SOBIE...

„Naturalna". „Jestem sobie taka jedna, mała, drobna, czarna, niepozorna. W tłumie ludzi ginę, jak szary, drobny proch ludzki. Mieszkam w małym miasteczku, gdzie brak towarzystwa zmusza mnie do życia samotnego i poważnego, choć podobno mam w sobie coś, co uspasabia otoczenie na wesoło. Pragnęłabym nawiązać z kimś kontakt listowny, ale poważniejszy, a jednak mający trochę humoru.

Całej „Krainie" moc serdecznych pozdrowień i proszę przyjmijcie mnie do „Rodzinki", myślę,



„Samotna Konwalia" ma w twarzy coś z północnych granitów, które są twarde, jasne i mocne, mocą szlachetną!

Witajcie nam, Mili „Krainiacy"!

Już w niedzielę zjedziecie się w Żninie, Drodzy Moi, aby zaakcentować i umocnić przynależność do ogromnej naszej „Rodzinki".

Przyjedzie z Wami młodość buńczuczna i jasna, co to zdolna jest sercem gorącym, zapalnym skruszyć zapory dzielące wrogów i zamienić ich na przyjaciół, a przyjaciół pasować na braci. Przyjedzie siła radosna, wyzwolona z pęt smutków i przygnębienia!

Będziecie przez godzin kilka czuć się szczęśliwymi, beztroskimi dziećmi jednej matki, która pielęgnuje ważną umiejętność w ludziach — miłość bliźniego!

Ta miłość rozpromieni Wasze młodzieńcze oblicza i da Wam chwile niezapomnianej słodyczy oraz pokrzepi wiarę w dobroć ludzi i w ich zalety. Wszyscy dobrze wiemy, jak bardzo niewypowiedzianie jest nam taka wiara potrzebna!

Ja tu Was przywitam może nie dość wymownie na siłę uczucia, jakie chowam w duszy dla Was, ale chciejcie pamiętać, że wzruszenie potrafi ścisnąć gardło i zaplątać język nawet największemu mówcy, a cóż dopiero takiej uradowanej do łez mnie, która kocham Was i żyję Wami jak drugim swoim życiem.

Dziś już czuję skurcz rozrzewnienia w krtani, gdy z serca Wam wołam:

WITAJCIE!!

ZOFIA.

że mi dobrze z Wami będzie, rzućcie czasami parę słów w stronę „Naturalnej".

Szczególne pozdrowienia dla Pana Henry Korna, ponieważ jego podobizna przypomina mi znajomą osobę. Jeżeli ma ochotę, niech napisze.

„Biała" Uajali" — dziwnym zbiegiem okoliczności „poznałam" Cię ze zdjęcia.

Całuję Panią mocno!"

APEL

„Zosia". Z opisu twego widzę, Dziecino, że z Ciebie wielka sportsmenka — ha? Lubię takich sportowych zuchów i masz dzięki temu moją sympatię.

Miło mi będzie dowiedzieć się w najkrótszym czasie, że znalazłaś już przyjaciółkę w Krakowie, a także w dalszej stronie naszego pięknego kraju.

Posyłam Ci uśmiech i zamieszczam Twój apel oraz komunikaty:

„Pragnę korespondować z jakąś miłą panią do lat 20 z Krakowa lub okolicznego majątku — często jestem w Krakowie i przykrzy mi się samej. Teraz znów we wrześniu 9 lub 10 wybieram się tam, więc byłoby cudownie, gdybym już miała kogoś znajomego — Adres w redakcji"

„Dziewczynko z zaklętego młyna"! Podobasz mi się, może napiszesz do mnie? Słoneczne uśmiechy i całusy przyjm od nieznajomej.

„Dumko", Nie znam Cię, lecz wydajesz mi się szalenie miłą dziewczynką. Przesyłam śliczny uśmiech. — Pa, Kochanie!

„Dyktatorze" Zaciekawiasz mnie. Musisz być ogromnie miły, a chyba nie jesteś wyniosły i dumny jak Twój pseudonim? Moc serdeczności — przyjm — może napiszesz do mnie?

„Młody Orle" Wydajesz mi się strasznie miłym chłopcem, choć nie brak Ci, jak każdemu lotnikowi, zarozumiałości. Przyznam Ci się, że czasami mam bardzo ostry języczek, lecz jeśli nie odstraszy Cię on i nie boisz się skaleczyć na nim, to napisz! — A może ja Cię znam z widzenia.

JASIEK NIE TAKI!...

„Złote jabłko". „I znów, po bardzo długim milczeniu, odzywam się! Może już myślała dobra Moja Pani Zofia, że zginąłem gdzieś za oceanem, lub w zamyśleniu spadłem z ziemi na jasno świecący księżyc i z tego też powodu zapomniałem o „Krainie"?

Jak tu tak nie myśleć, gdy Jasiu nic nie pisze — nie da znaku o sobie! Lecz Jasiek nie taki i wnet przypomniał sobie miłe osoby, gdy to przyjechał z dalekiego Lwowa i znalazł u siebie na biurku paczkę numerów „Moich Powieści" oraz kartę z Administracji tegoż pisemka o podanie zmiany adresu, ponieważ nie wiedzą komu to pismo przesyłają. Jestem teraz w obawie, czy pismo nie jest wysyłane i tu i tam.

A jak się czuję w Rzeszowie? Co do tego, to nie tak jak w Poznaniu. Tu na przykład, jak chce się kupić jajko, to trzeba płacić pół siedmia, to znaczy 6 i pół grosza; masło w garnuszkach, tak samo kartofle i inne artykuły spożywcze. Tu w ogóle świat jest pokręcony i trudno się przyzwyczaić. Na ten temat mógłbym bardzo wiele pisać i do śmiechu i do płaczu, lecz pozostawię to na przyszły raz.

Tym razem przesyłam Pani też kilka wierszyków, może się znów co uda. Może je Pani zamieści. Wszystko mi jedno co się z tym stanie, gdy będę miał pewne uznanie.

A co robi „Kraina"? Może śpi? Słyszałem też, iż szykuje się jakiś zjazd — nic o tym nie wiem! Kiedy i gdzie?! Widać, że byłem długi czas na księżycu.

Całą „Krainę", którą poprostu połykam — proszę ode mnie mocno uściskać. Tylko proszę, niech się Wuj Janusz nie przestraszy, bo by zachorował, a ja — to bym miał kłopot z moimi wierszykami.

Pozostaję wdzięczne

„Złote jabłko".

Poznaję Cię po tym liście, Mój Chłopcze! Ty zawsze potrawisz tryskać humorem i zaimponować młodzieńczą werwą. Bądź mi stale taki!

Wierszyk Twój rzeczywiście zamieściłam pod pierwszymi literami Twego pseudonimu „Z. J." A dlaczego? Bo podobał mi się i pomyślałam, że nie tylko w teczce było jego miejsce. No, teraz już wiesz? To dobrze!

Sprawę administracyjną poruczyłam odpowiedniemu działowi naszego wydawnictwa. Wysłano Ci pocztówkę informacyjną dn. 30/8. Zalegasz z prenumeratą podobno od stycznia. To byłoby mniejwięcej wszystko. Pozostaje mi już tylko przemówić Ci mocno do pamięci i serca, abyś na przyszłość pisał częściej, niezależnie od tego w której części kraju będziesz się obracał.

Czy mi to przyrzekasz?

Serdecznie podaję Ci dłoń na... „do widzenia" w Żninie, na zjeździe!

LIST DO „KRAINY SZCZEROŚCI" I NASZYCH TROSK

W poczuciu bliskiej jesieni...
ten list do Was piszę z oddali —
będzie w nim słońca spojrzenie
i smutek, co w sercu się żali.

Będzie w nim miłość ukryta,
choć tak jej niewiele doznałem,
bo z wami każdą wymianę
myśli mych przeżywałem.

Pisuję wiersze, barwione
błękitem nieba i zmierzchem —
waszą tęsknotą ukrytą,
wszystkie me zwrotki szeleszczą...

Pytacie, skąd we mnie smutek?
pytacie, skąd taka tęsknota?
to wrzesień... bliskością jesieni
przędzą me myśli omotał...

Pytanie, skąd nieraz uśmiech
we wierszu moim zawita...
gdy list otrzymany (od kogoś...)
radością me serce powita...

Za szczere słowa uznania
jakże Wam dziś się odwdzięczę?
w każdym mym wierszu dla Was
rozpinam nad sercem tęczę...

Chciałbym Wam nieba przybliżyć...
i gwiazdy rozsypać pod stopy...
Taką mam dziwną fantazję
w poczuciu radości mej złotej...

Dziś więc ten wiersz dla Was piszę
i każdym słowem się dzielę...
Jest cichy poranek zamglony —
w odświętnych pieśniach niedzieli...

Spoglądam na pola — dalekie — —
i łąki pachnące lasem,
po których błąkam się w ciszy,
szemrzącym sennie czasem...

O takiej to łące i polu
czytuję wasze wierszyki,
taką to polną tęsknotą
serce dziś Wasze przenikam.

Ach, cóż ja dałem Wam w zamian,
za słowa szczerego uznania...
niemoc owianą tęsknotą
i radość tajemną kochania...

Lecz dałem przecież me serce,
którym się z Wami dziś dzielę...
w ten przed jesienny poranek
cichej niedzieli.

Józef Baranowski.

PSUJECIE MNIE!

„Mary z Gdyni". Tak mnie zaskoczył ten nowy podarek, tym razem od Ciebie, Kochana, że przez dobrych parę chwil nie mogłam słowa wykrztusić. Przez mgiełkę wzruszenia patrzyłam na tę śliczną bursztynową broszkę i nawet nie opatrzyłam się, a już ręce same wpięły ją do dekoltu sukienki i lekko pogładziły, jak coś ogromnie bliskiego i czującego pieszczotę. Tak właśnie uczyniłam, jakby ten luksusowy sprzęcik był żywy i mógł odczuć moją radość i serdeczność wzbierającą dla osoby, która go dla mnie kupiła tam hen, nad naszym błękitnym Bałtykiem!

Dziękuję Ci za ten odruch dobrego Twego serduszka, które chciało sprawić mi radość i rzeczywiście spawiło niesłychaną! Co nie przeszkadza, że stwierdzę rzetelnie, iż zaczynacie psuć swoją opiekunkę zbytnim faworyzowaniem — a nuż się rozpuszczę, jak dziadowski bicz"?!

A wiesz, Kochana Moja, czego Ci gratuluję? Otóż tego, że tak znakomicie wykorzystałaś swoje wakacje. Przyznam się, że ja w tylu miejscach nie byłam i na pewno tyle nie użyłam, ile Ty! No, ale zamierzam to sobie powetować w przyszłym roku. Może też wówczas skorzystam z Twego ofiarowania się na mego cicerona po polskim wybrzeżu. W tym roku nie byłam tam wcale.

Owszem, podzielam Twoje zdanie, że praca jest motorem świata i ludzkiego bytowania. Kto nie pracuje, czy to umysłowo, czy fizycznie — ten jest już jakby jedną nogą w krainie cieniów. A to nie jest pociągające dla żywych — prawda?

Więc żywi niech, jak T, żywiołem swoim mianują pracę i niech w niej będą młodzi i radośni — też jak Ty!

Całuję Cię serdecznie w odwzajemnieniu i oznajmiam, że pozdrawiasz Kazimierza Junoszyca z Wa-wy i całą „Rodzinkę"!

WRÓĆ PROMIENNIEJSZA OD SŁOŃCA

„Czarny Hajduczek". Jakżeż mogłabym o Tobie nie pamiętać, kochanie? Nie wyobrażam sobie nawet takiego zapomnienia!

Niesłychanie cieszyłabym się, gdybyś tak zjechała razem z innymi na zjazd i absolutnie nie pogniewałabym się za to ewentualne ucałowanie na powitanie, przeciwnie, byłabym wręcz zadowolona.

Teraz — podobno — letniskujesz gdzieś nad morzem. Życzę Ci, abyś wypoczęła jak najlepiej i wróciła do domu promienniejsza — od słońca!

„Mała Konwalijko", może we wrześniu zobaczymy się. Oby! — Całuję buźkę i uśmiechnij się, Milenka!

„Blanko", — napisz Kochana, bo choć tydzień minął od widzenia naszego, ale nie mam czasu pisać pierwsza. Pamiętasz „Urodę" i mnie z czarnymi łukami? Całuję mocno.

„Przedwiośnie". Byłam w Toruniu i nie mogłam Cię odszukać, mimo, że znam adres. Co porabiasz? Napisz na adres do M. Czekam i ściskam mocno!

„Dumko". Żałuję, że nie mogłam być razem z Wami w G. Może jednak odwiedzę Cię. Pozdrawiam serdecznie!

„Henry". Jestem już w M. Co Pan porabia? Pozdrowienia!

„Rudi". Wiem, kim Pan jest. Powiedział mi ktoś, kto Pana zna.

„Barci", „Bławatkowi", „Luteńce", „Smutnej Iwonce", „Helusieńce", „Marucie", „Wesołej Pomorzance" — ślę dużo, dużo najmilszych pozdrowień!

Halo! Kto lubi pisać, niech do mnie napisze. Lubię miłe listy, a odpiszę na pewno.

Całej „Kraince", ślę serdeczne pozdrowienia — Pa!"

MALUTKIE GWIAZDY

O zmierzchu cichym, gasnącym,
O zmierzchu jasno - błękitnym,
Na niebie wielkim i wolnym
Malutkie gwiazdy kwitną.
Różowo - zielono i srebrnie
W obłokach tyle ich wschodzi
I drżą ziębnięte, strwożone
Nad morzem w wieczornym chłodzie
I drżą bezradne, nieśmiałe
Na zimnym nadmorskim wietrze
I dziwnie stają się nikłe
I dziwnie stają się bledsze.
A wtedy mgły opalowe
Przychodzą od wschodniej strony
I tulą gwiazdy miłośnie
W swe lotne, zwiewne welony.
Przesłonią je modrym szalem,
Owiną tkliwie, cichutko,
Bo żal im gwiazd dygocących,
Zziębniętych gwiazdek malutkich. —

A. E.

BĄDŹ SPOKOJNA!

„Anetka III". Co Ci chodzi po główce, Dziecino? Czy myślisz, że dla mnie sprawdzianem charakteru i serca ludzkiego jest regularność i piękno ich rysów, a może jeszcze bogactwo ich ubioru — co?!

Bądź spokojna — ofiarowałam Ci moją przyjaźń i wcale nie myślę jej cofać, przeciwnie, cieszę się, że otrzymałam wreszcie ten długi Twój list. A fotografię schowałam do albumu na pamiątkę.

Trochę za daleko do Żnina byłoby jechać rowerem — obawiam się, że zdrowie Twoje mogłoby być narażone na szwank! A z drugiej strony mocno pragnę Cię zobaczyć i porozmawiać. Słowem wyłonił się dylemat, który Ty sama jedynie rozstrzygnąć będziesz w stanie.

O jedno Cię proszę bardzo, o to mianowicie, żebyś postarała się być mniej, nie tylko już czułą, ale wręcz przeczuloną na punkcie ludzkich czynów. A dlaczego? Bo to prowadzi do melancholii i apatii, co znowu jest nieznośne u młodej dziewczyny. Rozumiesz mnie — prawda?

Owszem, rozumiem Twoją serdeczność dla „Smutnej Ślązaczki", bo i ja ją kocham i jest mi drogą ogromnie!

„Smutna Ślązaczko!" Czy spotkało Cię coś złego? Czyżby....? Nie! Nie chcę myśleć o tym! Pozdrawiam Cię serdecznie, daj znak życia! Czekam niecierpliwie!

„Hawajskiej Gitarze" dziękuję za pozdrowienia". Może się kiedyś spotkamy, gdyż jeżdżę rowerem, i to nie po lesie tylko, lecz urządzam b. dalekie wycieczki do różnych miast. Ostatnio mam w projekcie Poznań i Rawicz. Może kiedyś nadarzy się nam sposobność, że wspólnie przejedziemy kilkadziesiąt kilometrów. Wkrótce napiszę do Pani, a na razie przesyłam serdeczny uścisk.

Pozdrawiam całą „Krainę", a najbardziej — Sympatyczki i Sympatyków z Leszna"!

SOSNA

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętymi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.
Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Co dzień cichsza, milcząca;
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca.
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna;
W końcu jeszcze przed zimą
Zeschła sosna cmentarna.
Wiatr żałośnie jej pyta:
— „Biedna sosno z mogiły!
„Czyś ty gromem przebita?
„Czy, — ć robaki stoczyły?
„Czy ci żeru nie było
„W żółtym piasku z pobliska?
„Albo kamień swą bryłą
„Twe korzenie naciska?"
— Och! mnie nie tknął grom z burzą
„I robaki nie toczą;
„Ziemia soków ma dużo,
I mnie karmi ochoczo.
„Gdzie kamienie i głazy,
„Szłam z korzeńmi z daleka:
„Wrosłam — gorzej sto razy!
„W trumnę złego człowieka!
„Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
„W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mnie przebiegł grobowy,
„Gdym possała zeń trocha;
„Bo to człek był takowy,
„Co nikogo nie kocha!
„Pierwsze z piersi swej soki,
„Dał cmentarnej choinie;
„Czułam jak z tej epoki
„Brzydko we mnie jad płonie.
„Z jadem śmierci w mym łonie
„Byłam smutna — milcząca...
„Każdy wietrzyk, co wionie,
„Więcej kolców mi strąca,
„Próżno w ziemię rodzimą
„Nowe rzucać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły — przed zimą,
„Zginie sosna cmentarna".

Władysław Syrokomla.

PIELĘGNUJ W SOBIE NATURALNĄ POGODĘ I DOBROĆ!

„Wisiu!" Z taką ogromną przyjemnością czekam zawsze na Twoje słodkie listy! Ty, Dzieciaku, też zdajesz mi się być utkana z samych pajęczych przędz pogody i dobroci. Staraj się stale zwalczać w sobie smutki i przygnębienia, a podniecaj tę naturalną u Ciebie pogodę i dobroć!

Ładnie by to było, gdybyś tak mogła przyjechać do Żnina na nasz zjazd!

Dziękuję Ci za starania o zdobycie jednego przynajmniej abonenta „Moich Powieści"!

Może skomunikujesz się z „Przybłędą Leśnym", albo z „Szydercą" — to b. inteligentni Sympatycy.

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty.

„Jasieńko" — całuję buźkę — czekam liściku! Wszystkim, którzy przesłali dla mnie pozdrowienia — dziękuję serdecznie i odwzajemniam! Dla całej „Rodzinki" moc serdeczności!"



KTO Z WAS UKOŃCZYŁ KURS...

„Chochlik". Oj, Kochana! Tak długo walczyłaś w milczeniu o swoją samodzielność, że aż zapomnieliśmy po trochu o Twoim istnieniu. Nie trzeba nas zaniedbywać, gdy się chce nie popaść, nie tyle w niełaskę, ile w zapomnienie! No, ale teraz już sprawa wyjaśniona i kontrakt podjęty od nowa — niech Ci się zdaje, że nie było tej dwuletniej przerwy w naszym współżyciu.

Rozumiem Twój smutek i to rwanie się z beznadziejnej klatki, jaką musi Ci się wydawać ta zakuta wieś, po ludnej i hucznej Warszawie. Niemniej, radzę Ci nie poddawać się smętnym nastrojom, lecz w dalszym ciągu tak wzorowo prowadzić swoją agencję, a równocześnie gorliwie uczyć się, abyś jak najprędzej mogła zdać egzamin, ułatwiający dostanie się do urzędu. Może wówczas uda Ci się nawet powrócić do Warszawy.

Życzę Ci wytrwania i zamieszczam Twój apel:

„Drodzy Krainiacy"! Może są wśród państwa i pocztowcy, którzy kończyli kurs zawodowy urzędniczy? Jeśli tak, to bardzo bym prosiła o wypożyczenie mi notatek z tego kursu, — chcę złożyć egzamin jako externistka, aby móc starać się o przeniesienie z agencji do urzędu.

„Krainiacy", — ratujcie, piszcie do „Chochlika", który tu na wsi nawet psot się oduczył, bo mu tak smutno samemu! Ewentualne listy proszę kierować wprost do: J. A. kierowniczka agencji pocztowo-telegraficznej w Macpolsku.

Ściskam i całuję wszystkich"!

NIE MA ZNIŻEK KOLEJOWYCH!

„Lucyna". Ależ owszem, bądź już naszą stałą sympatyczką i niech Ci „Kraina" przyniesie maksimum zadowolenia.

Nie ma zniżek kolejowych na zjazd, gdyż nie jest to impreza obliczona na tak wysoką skalę, aby mogła uzyskać aż ulgi kolejowe. Wprawdzie „Krainiaków" zjedzie się sporo, lecz będą oni z różnych stron, tak, że dużych grup wycieczkowych zapewne nie utworzą. Będą raczej zjeżdżać indywidualnie, samotrzeć, jakoby powiedział Wujek Janusz.

Pozdrawiam Cię i przepisuję komunikaty.

„Fred" — zainteresowałam się Panem — napisz! „Kazimierz Junoszyc" również.

Z OCHOTĄ!

„Młody rolnik". Z ochotą przyjmuję Pana do naszej „Rodzinki". Cieszy mnie, że tak bardzo przypadły Panu do serca „Moje Powieści". Owszem, numery od stycznia może Pan otrzymać do września włącznie za cenę 9 zł. Prenumerata miesięczna wynosi 1 zł. z doręczeniem do domu.

Czekam na ten rewelacyjny list z opisem przygód, zaznanych w wędrówce po Polsce, a na razie pozwalam przedstawić się Panu członkom „Rodzinki":

„Przedstawiam się „Krainie". Mam lat 28 i pracuję w majątku (w okolicy Konina), jako urzędnik gospodarczy. Pragnąbym nawiązać — łączność z „Krainą", dlatego proszę Kogoś z „Krainiaków" o słów kilka. Odpowiedź murowana, bo czasu mam dużo. Może ten ktoś będzie z okolicy Konina, to moglibyśmy się osobiście poznać. Pozdrawiam całą „Krainę" i czekam z utęsknieniem na dowody przyjęcia!"

PRZYCHODZI...

„Romek" w taki oto sposób przemówił znowu do „Krainy":

ZNÓW PRZYCHODZĘ...

Do ciebie dziś przychodzę,
Schorzały, wytęskniony —
Po tak dalekiej drodze,
Po latach tych minionych.
Przychodzę dziś do ciebie,
Jak kamień zaginiony
Gdzieś w nurcie wód spienionych
...Przychodzę dziś w potrzebie.
O, wiem, żeś mnie kochała,
Że byłaś tak szczęśliwa,
Ale tych chwil ogniwa —
Złych losów dłoń zerwała.
I przyszło zapomnienie
Przez tyle, tyle wiosen
I znikło me marzenie,
Jak ptaki pośród sosen.
„Do ciebie dziś przychodzę,
Schorzały, wytęskniony,
Po tak dalekiej drodze,
Po latach tych minionych...

„Romek".

PUKAM!...

„Smutna René z Węgrów". „Pukam do wszystkich serduszek, bijących w „Krainie szczerości" by zechciały przyjąć do siebie „Smutną René" z Węgrów".

Tak mi smutno! Czuję się taka samotna i maleńka wśród bezkresu, otaczających mnie pól. Trzeba mi słowa pociechy i szczerej życzliwości!

Czy znajdzie się ktoś, co ma złote serce i jasne, jak niebo, oczęta i potrafi zaaplikować mi sporą dawkę radości?"

Tak woła do Was, o „Krainiacy", nasza nowa Sympatyczka — nie zostawcie jej głosu bez echa!

Ja myślę, że niedługo zapomnisz o smutku, Dziecino — będziesz nawet innych jeszcze pocieszała.

Fotografię można zamieścić? Bywaj mi!

DIANA BYDGOSKA

Łuczniczko myśli wrażych, dziewico bezwstydna,
tęsknoto, skamieniała w oczekiwań chłody,
oto dumną nagością rozpalasz do widna
rozpacze parnych świtów i szałów zachody.

Wiatr żaglem granatowym mroku w brzeg łopoce,
a tobie, panno pyszna, stopami w różach trwać...
Gwiazdy całują lśnieniem twych ramion krągłą gładź.
usta ci wonnie pieszczą tętniące rzeczne noce.

Diano, dziś Akteona na łup nie wydaj kniei. —
Za wyspą zamarł świateł i wierzb nadwodny pościg,
za wodospadem rośnie spieniony wir nadziei,
a dalej nic już nie ma — prócz mroku i miłości!

Alfred Kowalkowski.

MOŻESZ MI POWIEDZIEĆ?...

„Łowca Przygód". Co Ty mówisz, Chłopcze? Masz 20 lat i już jesteś na piątym roku medycyny? Jak to się stało — możesz mi powiedzieć — że mimo swych dwudziestu lat i szalonych zdolności, na które wskazują Twoje gwałtowne studia, życie piszesz przez „rz" a medycynę nazywasz „medecyną" i absolutnie nie uznajesz interpunktacji?... Przyznasz sam że mam słuszne powody do powątpiewania w prawdę Twoich słów.

Napisz mi proszę kilka słów wyjaśnienia, a wówczas dopiero przyjmę Cię oficjalnie do naszej „Rodzinki".

MASZ ZROZUMIENIE DLA PIĘKNA!

„Uran". Tak, Ty masz w sobie moc zrozumienia piękna przyrody i umiesz to wyrazić w słowach. Tylko chciałabym, aby te słowa były trochę mniej kunsztowne, barokowe. Przyroda jest cudowna, ale prosta, nienapuszona i tak należy też ją interpretować, gdy chce się należycie odczuć i uświęcić jej cudowność!

Życzę Ci, aby Twoje uwielbienie dla piękna, w jakiej by ono nie było formie, nigdy nie straciło na mocy.

„Kochane „Krainianki" i „Krainiacy"! Żyłem się już zupełnie z Wami i dobrze mi bardzo nawet dobrze w tej Waszej milutkiej rodzinnej atmosferze! Często myśli me, kołysane braterską miłością, płyną ku Wam, niby ptaszęta w zaciszy, pełe słodkiego upojenia rozmyślań chram. Pamiętajcie proszę i Wy o mnie! Niechaj braterskie, złote nici przyjaźni splotą nas w jedną, prawdziwie jasno - słoneczną rodzinkę miłości i ukochania.

„Farido"" — dziękuję za pamięć i serdecznie pozdrawiam.

„Królowo Gizello" — odwzajemniam mile pozdrowienia.

„Honorato" — za serdeczności ślę Ci, Milutka Dziewczynko, słoneczny uśmiech dziękczynienia.

„Helusienko"" — prosiłaś o liścik? Dobrze, napiszę!

„Czarodziejko"" — dziękuję Pani, Droga poetko za dwukrotne pozdrowienia oraz słowa uznania. Bardzo dobrze mnie zrozumiałaś. Ściskam serdecznie Twoje rączęta.

Ktokolwiek miałby chęć napisać do mnie, to proszę bardzo! Odpowiem na każdy list.

Dla ułatwienia podaję adres: Eugeniusz Halman Wyszecino, pow. Morski. Na zakończenie ślę całej „Krainie" młodzieńczy, beztroski uśmiech i wszystkich razem, szczerze pozdrawiam!"

NIESTETY!

„Samotny — Chorzów I". Niestety, zniżek na przejazd, jak już Panu doniosłam, nie będzie. Termin zjazdu był już oficjalnie podany, mianowicie 11. 9. br.

Owszem, ma Pan słuszność, że zgłoszeń na zjazd wpłynęło dużo — zobaczymy, czy wszyscy, którzy obiecali, przyjadą!

Wrócił więc Pan znowu na zimę do Chorzowa? Zleciłam administracji, aby przesyłała tam Panu nasze pisma.

To byłoby wszystko na razie, wszak niedługo już się zobaczymy!

Przesyłam Panu uścisk dłoni i zamieszczam komunikaty:

„Królowa Gizella" — co znaczyły słowa w „Krainie" (nr. 32) czyż za mało byłem szczerym — co znaczy kartka przesłana i co to za wnuczki dopisywały się? Czy to kpiny? Dlaczego i za co?

„Waldemira" — Twój apel co do urządzenia balu podzielam — pozdrawiam, czołem!

„Banialuka". Podzielam Twój apel wzięcia udziału w zjeździe gromadnie na rowerach.

„Wesoła Ślązaczko" — jestem znów w Chorzowie, czekam na przyrzeczony list. Będziesz na zjeździe?

„Słodka Wisienka" i „Szare dziewczę", czemu listy wysłane na poste-restante nie zostały podjęte?

„Słoneczko II", „Starsza, smutna Ela", „Lang-Heng", „Dziewczę z małego Domku", „Wesoła Pomarzanka", „Smutna Kazienka", „Samotna Rusałka", „Biała Różyczka". Halo, halo! Dziękuję za pozdrowienia! Gdzie przyrzeczona odpowiedź na wysłany list? Będziecie na zjeździe? Zjeżdżajcie, bardzo proszę! Pozdrawiam! Czołem!"

PRZYKRE TO!

„Wierzba na pustkowiu". Przyjmuję Cię ni-niejszym do naszego grona i radzę kochać nas tak szczerze i mocno, jak mocno pragnęłaś do tej pory znaleźć się w „Krainie".

Wierszyki Twoje oddałam Wujkowi Januszowi do oceny. Sądzę, że dowiesz się niedługo, czy zostały sklasyfikowane do druku.

Przykre to, że nie masz już rodziców, ale da Bóg, to Ci wynagrodzimy brak uczuć rodzicielskich uczuciem i życzliwością siostrzaną.

Do Was „Krainiacy" zwracam się z prośbą, abyście otoczyli delikatną opieką naszą nową Siostrzyczkę. Czy godzicie się?

Całuję Cię, Kochanie i czekam na dalsze z Tobą rozmowy?

GDZIE JESTEŚ I CO ROBISZ?

„Stokrotka". Cudownie, widzę to z Twego listu, spędziłaś tegoroczny urlop. I poznałaś tylu miłych członków „Rodzinki"!

Dziękuję Ci za pamięć, podwójnie mi miłą dlatego, że okazaną w chwilach osobistego zadowolenia i radości.

A gdzie teraz jesteś i co robisz? Skłonna jestem przyjąć, że z całą przyjemnością przeżywasz powtórnie doznane wrażenia — słowem żyjesz wspomnieniami. Czy nie tak?

Pozdrawiam Cię mile, oraz oznajmiam Sympatykom, że posyłasz im przyjazny uśmiech i osobne pozdrowienia dla „Dari", „Bolka i Lolka" i „Rudiego 220—380".

TECZKA wuja Janusza

Z PRAWDZIWĄ PRZYJEMNOŚCIĄ...

„Blanka". Moim serdecznym życzeniem było właśnie to, aby przybyła Pani na zjazd. No i-życzeniu stało się za dość! Z prawdziwą przyjemnością powitam Panią i naprzód przyrzekam osłonić Panią opiekuńczymi skrzydłami przed „niebezpieczeństwem", gdyby takie pojawiło się rzeczywiście na horyzoncie. Sądzę, że rozumie mnie Pani?

P. Zofia była ogromnie zadowolona z tego „kochana", no a P. M. Z. niemożliwie rozpromieniona określeniem „śliczna". Obydwie przesyłają Pani uściski i pozdrowienia.

Nadesłany przez Panią adres przekazałem administracji. Dziękuję za niego!

A teraz — do zobaczenia!

Komunikaty zamieszczam:

„Samotna Włościanko", nie gniewaj się, napiszę wkrótce. Całuję!

„Barciu", tak mi żal, że nie mogłam uścisnąć Twoich rączek i odebrać tych wspaniałych róż. Przyjm mój uśmiech!

„Czarny Hajduczku", wybacz moją chwilową słabość. Cenię Cię i kocham bez zmian, najmocniej!

„Dumce" oraz Maryli Świgoniowej — serdeczne podziękowanie za „paczuszki". Zawartość była wspaniała. Całusy!

„Zefi", „Mała Mery" — miłe pozdrowienia!

„Zuch Dziewczynko", — chciałabym zarazić się Twoją pogodą i optymizmem. Czy zechcesz napisać do mnie?

„Uranie", braciszku mój, przyjm od siostruni najlepsze słowa i uśmiechy. Bądź pogodnym!

PP. Domagałom w Żninie — podziękowanie za milutkie przyjęcie. Proszę przyjąć pozdrowienie.

P. Tadeusz Rawicki! Moje pełne uznanie za piękny wiersz p. t. „Przez życie".

P. Kazię Roehrównę z Gniezna gorąco zapraszam do naszej miłej „Krainki"!

Irko K. Poznań, polecenie wypełniłam i... chciałabym jak najprędzej ujrzeć Cię w „naszym" gronie t. zn. w „Krainie"!.

MIŁEJ „SAMOTNEJ WŁOŚCIANCE"

Miłej „Samotnej Włościance"
— dedykuję.

Coś się skończyło, coś umarło we mnie,
Wszystkie się włókna w duszy porzywały.
Ach, ktoś kochany, poszedł w świat beze mnie,
Tak się z rozpaczy serce rozkrzyczało.
W moim życiu tajemna moc zapadła,
Gdzieś w labiryncie ścieżek dusza kona...
Miłość słoneczna, jakże dziś pobladła
Na oczy moje rzucił zmierzch zasłonę.
Błądzę samotna, w beznadziejnej nocy,
Mymi towarzyszami wicher rosełkany,
I blade, idące w ślad za mną, cienie —
Tak błądzić może tylko ktoś niekochany.
— — — — — — —
Idę bez celu, droga ma daleka
I pełna cierni, nie kończy się wcale:
Lecz iść muszę, choć nikt na mnie nie czeka...

„Blanka".

CIESZY MNIE TO BARDZO!

„Dziewczynka z zaklętego młyna". Trema Pani pewno minie, gdy dowie się Pani, że ostatnie wiersze są już znacznie lepsze. Widzę, że moje słowa — „stać Panią na lepsze wierszyki" — zdopingowały Panią do intensywniejszej i, wydajniejszej pracy. Cieszy mnie to bardzo!

Z nadesłanych wierszy postanowiłem wydrukować poniższe: „Białej Uajali" — poświęcam, „Wierz i Ty", „Niech ci przypomną" i „Nie w porę".

Na zakończenie zwracam Pani maleńką uwagę, że utwory przeznaczone do druku pisze się zawsze po jednej stronie papieru, gdyż to ogromnie ułatwia pracę zecerowi.

Pozdrawiam Panią i czekam na nowy list!

WIERZ I TY..

Panu Janiakowi z Roszczycy
— poświęcam.

Wierz i ty,
Że szczęście przyjdzie do ciebie,
Że spełnią się twe marzenia, sny,
Że zamigoce w twym sercu,
Jak gwiazda na niebie,
To szczęście prawdziwe, jasne...
Tylko je silnie przytrzymaj w swej dłoni.
By było na wieki twe własne,
A myśl twoja — niechaj za „złotem" nie goni!

H. Justyńska.

TO WIELKA ODWAGA!...

„Zo". Ach, miła Pani „Zo"! To wielka odwaga, mało, powiedziałbym, to tupet, chcieć wydać wiersze o treści wybitnie absurdalnej. Tomik chce Pani nazwać „Pełnymi kłosami", uważam, więcej odpowiadałby mu tytuł: „Puste kłosy". Bardzo przepraszam, jeżeli jestem „okrutny i zimny", ale jakoś nie może mi się pomieścić w głowie, że przyszłe pokolenia ludzi, będą czytały w tomiku poezyj, napisanym przez kobietę XX-go wieku, taki wiersz:

„Jestem mała, jestem taka nieporadna,
Jak listeczek zielony na drzewie
I tak życie spędzam na tym śpiewie
I jedną mam zaletę — jestem ładna.
Wciąż na coś czekam,
Co ma przyjść z daleka,
Czy pogoda ładna, czy deszcze cieknął —
Ja wciąż czekam...

I niczego się Pani nie doczeka, droga Pani „Zo"! W każdym razie najmniejszej zachęty z mej strony, aby Pani wydała swoje wiersze!!!

PÓJDZIE NA PEWNO DO DRUKU

P. Marylka K. Czy przypomina Pani sobie moja karykaturę w jednym z ostatnich numerów? Otóż tak wyobraził mnie sobie jeden z Sympatyków i tak wyobraża sobie mnie i P., prawda? Hm... nie jest to bardzo miłe dla mnie, ale też i nie bardzo tragiczne. Wyobrażam bowiem sobie, jakie szalone wrażenie zrobię na Sympatykach, gdy ukażę im się bez kuli, bez brody, bez zmarszczek i błyszczącej łysiny...

Nowela — „Zdradziecka fotografia" — pójdzie na pewno do druku. Terminu druku, niestety, określić nie mogę. Wiersz — „Czy kocham" — zamieszczę w najbliższym numerze! Do zobaczenia — na Zjeździe!!!

CZY BĘDZIE PAN NA ZJEŹDZIE?

„Złote Jabłko". Czy będzie Pan na Zjeździe? Byłbym mocno zadowolony, gdyż mógłbym szczerzej porozmawiać z Panem na temat ostatnio nadesłanych wierszy. Zasadniczo są one dobre, ale posiadają mnóstwo, drobnych usterek, które psują całość. Pozdrawiam Pana i mam tę silną nadzieję, że będę miał wkrótce okazję pogawędzenia z Panem.

oszukano, zdradzano, poniżano, iż nie mają już teraz zaufania do nikogo. Kogo wybrać: Juareza, czy też Maksymiliana? Obaj podają się za liberałów, a mimo to są przeklinani przez księży, mnichów i właścicieli haciend. W rozrzuconych wzdłuż toru kolejowego lepiankach Indianie śnią o tym, co już nigdy nie powróci. Gdzież są czasy Montezumy i wspaniałej kultury Azteków! Niestety! Koło fortuny się toczy, życie mija, dni płyną jak woda. W Europie monarchie zwolna upadają wskutek braku zrozumienia chwili bieżącej. Dlaczego Indianie nic nie rozumieją? Dlaczego suwereni europejczycy są tak mało przewidujący? Zapłacą za to drogo w przyszłości i będą gorzko żałowali swego odstępstwa od idei solidarności monarchicznej.

Pociąg przybywa wreszcie do celu. Małą stacyjkę ocieniają gęste zielone krzewy. Świta cesarza wychodzi z wagonów, rozglądając się za miejscowymi przedstawicielami. Nie ma nikogo! Padają zapytania; grupki ciekawych, lecz obojętnych Indian milczą. Gdzie jest alkad, gdzie są radni miasta? Cesarz i cesarzowa oczekują już sześć minut, niecierpliwiąc się w swym wagonie, ozdobionym boazeriami. Maksymilian tupie w gniewie nogą i wygląda przez okno. Członkowie świty tajemniczo się porozumiewają i jeszcze bardziej tajemniczo milkną na widok cesarza.

Blady i zrozpaczony mistrz ceremonii usprawiedliwia się wobec cesarza, który nie posiada się ze złości. Karolina usiłuje uspokoić męża. Może rada miasta pomyliła się co do godziny i przybędzie za kilka minut. Cesarzowa ma serce przepełnione goryczą i ciężko wzdycha. Cesarz wychodzi z pociągu, ubrany w galowy mundur indyjskiego generała. Rozlegają się słabe okrzyki. Z kolei wychodzi Karolina i natychmiast spostrzega, iż tylko świta i kilku nielicznych Indian pozdrawia ją ukłonem. Nie ma honorowej straży, ani triumfalnej bramy, ani petard, ani kwiatów, ani głośnych wiwatów! Nastrój grobowy. Cesarz czuje się nieswojo, udaje jednak, iż nie widzi tego ponurego przyjęcia i usiłuje zastąpić brak entuzjazmu swą serdecznością: chce pocałować jakiegoś małego Indianina, lecz ten ucieka z krzykiem.

Wreszcie przychodzi alkad, w zwykłym codziennym ubraniu, nie spiesząc się zbytnio. Jest mu gorąco, więc zsuwa sombrero na kark. Taka bezceremonialność w obecności cesarza oburza zebranych, mistrz ceremonii chce mu zwrócić uwagę na jego niewłaściwe zachowanie, lecz alkad spokojnie spluwa i rozpoczyna bezładne przemówienie, którego wszyscy słuchają ze znudzeniem, które wkrótce przechodzi w zdumienie i przerażenie, bowiem w przemówieniu nie ma ani jednego słowa powitania dla cesarza, ani jednego pozdrowienia dla cesarzowej. Słuchacze truchleją, zwłaszcza kiedy mówca zapala cygaro, podczas gdy cesarz zwraca się do niego z odpowiedzią.

Krótka ceremonia skończona. Alkad i radni miasta odchodzą bez ukłonu. Takie zachowanie należy zapewne przypisać temu, iż przed dwoma dniami oddziały Juareza dotarły do sąsiedniej wioski i przypomniały ludności o słynnym dekrecie z dnia 1 listopada 1865 r. skazującym na śmierć wszystkich stronników Habsburga. Karolina odczytuje, wywieszony na ścianie stacyjki płomienny manifest Wiktora Hugo, który Juarez polecił przetłumaczyć i rozplakatować we wszystkich prowincjach. Złowrogi i ponury nastrój nie wróży nic dobrego; kler nie chce wziąć udziału w uroczystości na skutek rozkazu biskupa; piękne metyski hiszpańskie, które przez cały tydzień przygotowywały się na powitanie pary monarszej, w ostatniej chwili nie miały odwagi przyjść. Specjalni wysłańcy galopowali od haciendy do haciendy, rozwożąc odpowiedni nakaz. Bezlitosne słońce rzuca żar z nieba; wszyscy są straszliwie znużeni, ocierają pot z czoła, a konsul Hoorick ma łzy w oczach. Uroczystość skończyła się o kilka godzin wcześniej, niż to było przewidziane. Ochmistrz dworu biega od grupy do grupy: czy to prawda, iż miasto nie przygotowało żadnego przyjęcia? Co należy uczynić? Cesarz i cesarzowa rozmawiają z gromadką Indian i Metystów, obojętnie patrzących na swych monarchów. Trzeba oczywiście wracać. Tak, lecz pociąg miał być podstawiony dopiero po południu. Maszynista upija się w pulperiach i nie sposób go odnaleźć. Cesarzowa zgnębiona wydarzeniami dnia opada z sił; słania się i na pół omdlała siada na jakimś nędznym krześle ze słomy. Cesarz usiłuje zachować mężną postawę, stojąc pośród tłumu, który ociera się o niego i potrąca, nie zdejmując kapeluszy. Stare matrony podchodzą do Maksymiliana, by mu się przyjrzeć z bliska i oddalają się z głośnym śmiechem. Mężczyźni kręcą cygara i palą, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność cesarza. Karolina, po chwili odpoczynku, wstaje i rozmawia z kilkoma damami, które uporczywie siedzą, podczas gdy cesarzowa stoi przed nimi. Po półtoragodzinnym wyczekiwaniu pociąg jest wreszcie gotów i para monarsza odjeżdża wśród powszechnej obojętności. Cesarzowa u kresu sił opada na siedzenie, zamyka oczy i przez cały czas podróży milczy, ciężko wzdychając. W odległości dwunastu kilometrów od Meksyku postój i bankiet dla cesarskiego orszaku. W niewesołym nastroju zasiada się do stołu: wszyscy są zmęczeni ciężkim dniem i opanowani beznadziejnym zwątpieniem. Organizatorzy bankietu, chcąc wzniecić trochę wesołości wśród obecnych, usiłują prowadzić ożywioną rozmowę i opowiadają niesmaczne dowcipy. Wreszcie koniec okropnego posiłku. Powrót w cieniu ciepłej nocy, roziskrzonej gwiazdami. Chwilami traci się świadomość, czy te wszystkie Krzyże Południa i Wielkie Niedźwiedzice błyszczą na niebie czy też płoną na szczytach gór.

Po powrocie do stolicy, cesarz nie ma nawet odwagi odpowiednio zareagować i zażądać wyjaśnień od swych ministrów i odpowiedzialnych mistrzów ceremonii. Groza nieszczęścia łączy oboje małżonków. Spotykają się późnym wieczorem, przejęci niepokojem i bólem. Miłość jest ich jedyną osłoną przed nadciągającą burzą. Karolina patrzy z tkliwością na męża i płacze, myśląc o przyszłości dynastii. Maksymilian troskliwie dopytuje się o powody tego smutku, zatapia wzrok w oczach Karoliny, pragnąc w nich znaleźć wyjaśnienie dręczącej go tajemnicy.

Dlaczego w ciągu długich dni i nocy męczy cesarzową tropikalna gorączka, zmuszając ją do pozostania w łóżku? Dlaczego ciemny cień podkrąża jej oczy? Dlaczego ręce jej drżą i straszne widma męczą ją w koszmarnych snach? Dlaczego wczoraj cesarzowa w jakiejś niepojętej ekstazie zbierała kamienie i dotykała nimi drzew w parku? Czy to skutki czarów yukatańskich, sprowadzających opętanie? Dlaczego Karolina, utrzymując, iż jest zaczarowana, wpadła któregoś wieczoru w dziwny trans i wezwała Maksymiliana, by mu opowiadać o dziedzicu Habsburgów, który się z nich narodzi, a na drugi dzień o wszystkim zapomniała i śmiała się ze swych dziwactw?

Dlaczego on, Maksymilian, tyle wycierpiał przez kilka miesięcy pobytu w Cuernavaca? Straszliwa dezynteria torturowała go okrutnie, wyciągając zeń wszystkie siły. Przyboczny lekarz cesarza twierdzi, iż to specyficzna choroba tropikalna, lecz krążą głuche pogłoski, że cesarz i cesarzowa zostali zatruci. Zbrodnicze ręce, pracujące dla Juareza lub dla arcybiskupa Meksyku, przygotowały zdradziecki napój.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

10)

BOGDAN ŁĘCZYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

— Sommersonne zabity, panie Czerwicki, a jego ciemno zielony Chrysler okazał się najzwyklejszym samochodem. Różnił się od innych tylko kompleksem lusterek, przy których pomocy szofer bez oglądania się widzi wszystko dokoła siebie...

— A Straszliwy Trup? — zapytał Jan.

— Do diabła! Tak, ten przeklęty Straszliwy Trup!

— A więc gra jeszcze nie skończona, panie komisarzu! Musi pan przyznać, że nie mamy żadnych dowodów na to, co łączyło Sommersonna z trupem Pauliny Staszowskiej i na czym polegała ta niesamowita historia... Przeciwnicy padli, ale zagadka nie została rozwiązana...

XXX.

STRAŻAK, KTÓRY NIE JEST STRAŻAKIEM

W pokoju nr. 18 hotelu „Centralnego" siedział stary wiarus, Sylwester Czarnik, zameldowany w książce jako służący kupca, Emeryka Wimbleda, przybyłego z Warszawy dla dokonania szeregu poważnych transakcyj z miejscowymi przemysłowcami.

Po schodach, wiodących na pierwsze piętro, gramolił się jakiś żebrak. postękując z wysiłku. Wytłuszczony kapciuch przechylił się mu na lewe ucho, co nadawało staremu piętno jakiejś nieprawdopodobnej awanturniczości.

Portier patrzył za nim i wzruszył ramionami.

— Szczególne fantazje mają ci bogacze, jak Boga kocham... — mruczał. — Co może łączyć wytwornego gościa z jakimś dziadem?...

Gdyby nie szczególnie podkreślone polecenie służącego kupca, poparte dwuzłotowym napiwkiem, portier wyrzuciłby żebraka za drzwi. A tak musiał patrzyć jak niezdarny starowina zwija olbrzymimi bucikami ten piękny chodnik na schodach i — zgroza pomyśleć — rysował świeżo wyfroterowaną podłogę. A poręcz?! Niech go diabli! Całą umazał...

Żebrak tymczasem (co za bezczelność!) bez pukania wszedł do pokoju nr. 18. Portier z pasją wydobył papierosa i zapalił, otaczając się kłębami gryzącego dymu, był bowiem człowiekiem oszczędnym i nie lubił wydawać pieniędzy na droższe gatunki papierosów.

Sylwester Czarnik, ujrzawszy żebraka, porwał się z krzesła, wybuchając stłumionym śmiechem.

— Och, monsieur, monsieur! — mówił półgłosem. — Trzeba panu było widzieć nocnego portiera... Boki zrywałem! „Skąd się to dziadostwo tu wzięło? — mruczał — Chyba kominem wlazł?!... I taki wstrętny, parszywy chyba, czy co?"

Żebrak usiadł na krześle, zrzucił z siebie łachmany i podarte buciary, odjął przyprawione siwe wąsy, po czym ściągnąwszy z głowy jakąś błonę, znakomicie imitującą łysinę, zanurzył twarz w miednicy z ciepłą wodą. W dziesięć minut później pan Emeryk Wimbled siedział przy stole, popijając swój ulubiony dżyn. Dziadowskie rekwizyty powędrowały do jednej z wielkich waliz skórzanych, stojących pod łóżkami.

Stary służący milczał, ale jego oczy, obwiedzione dookoła siecią głębokich zmarszczek, wyrażały takie zaciekawienie, że Wimbled roześmiał się.

— Wiesz Sylwa, że żałuję swego przyjazdu... Sprawa ciekawa, ani słowa i niezwykła, a przy tym diablo niebezpieczna, ale...

— Ale, monsieur? — podchwycił żywo Sylwester.

Emeryk Wimbled przesunął muskularną ręką po siwiejącej już na skroniach bujnej czuprynie.

— Ohyda... — rzekł z obrzydzeniem. — Bagno, cuchnący śmietnik! Im dłużej pracuję, tym bardziej zniechęcam się. Podłości i podłostki, nikczemności i nikczemnostki. I głupota, głupota, nędzna, idiotyczna głupota kołtunów. Ordynarne złodziejstwa i jeszcze ordynarniejsze oszustwa; złoto — Bóg, złoto — honor, złoto...

Wstał nagle, machnąwszy ręką.

— Skończę to za jednym zamachem, nie wytrzymam dłużej...

Narzucił na siebie sportowy płaszcz i niedbale wcisnąwszy na głowę kapelusz, nacisnął klamkę.

Ale nie zdążył otworzyć drzwi, rozległ się bowiem dzwonek telefonu.

Brwi Emeryka Wimbleda uniosły się z lekka do góry.

Sprężystym krokiem podszedł do okna, na którego parapecie stał telefon.

— Halo, słucham, przy aparacie Emeryk Wimbled.

— Mniejsza z tym jak pan się teraz nazywa, panie Sławicz... — usłyszał w słuchawce niemiły głos, mówiący po angielsku. — Chodzi o to, że pan się znów gdzieś wybiera, powróciwszy dopiero przed chwilą w przebraniu żebraka. Otóż chciałem zakomunikować, że uczyni pan nierównie lepiej, gdy w ogóle dziś nie ruszy się z hotelu.

— A jeśli się ruszę, mr. Stackpoyle? — zapytał detektyw, z trudem panując nad zdumieniem, które go opanowało.

W słuchawce przez długą chwilę panowała cisza. Widocznie na Anglika przyszła kolej zdumiewać się. I on jednakże zdołał widać opanować się, głos jego bowiem, który zabrzmiał wkrótce w uszach Sławicza, był spokojny i chłodny.

— Wtedy zmuszony będę użyć pewnych argumentów, których chciałbym zaniechać, nie żywię bowiem do pana urazy.

— Ach, takich argumentów jak wobec Marczyka, Staszowskiego, Rosenberga i Kunza, nieprawdaż?

— Może takich, a może i innych, więcej pomysłowych.

— Nic panu nie mogę przyrzekać, panie Stackpoyle... Przychodzą mi czasem do głowy różne rzeczy i dlatego nie lubię być skrępowany.

Energicznie powiesił słuchawkę.

Podszedł do drzwi i powiesił na klamce ręcznik, by zasłonić dziurkę od klucza poczem wyjrzał oknem. Wykluczone, by ktokolwiek mógł widzieć, co dzieje się w pokoju, choćby najbardziej wychylał się z okna. A przeciwległa znowu kamienica znajdowała się w odległości najmniej 50 metrów. Ponadto promienie słońca padały właśnie w jej okna, a nie w okna hotelu.

Detektyw usiadł na wygniecionej kanapce. Twarz jego była nieprzenikniona, ale bystry obserwator dopatrzyłby się może, że oblicze to wyrażało najwyższe zaciekawienie.

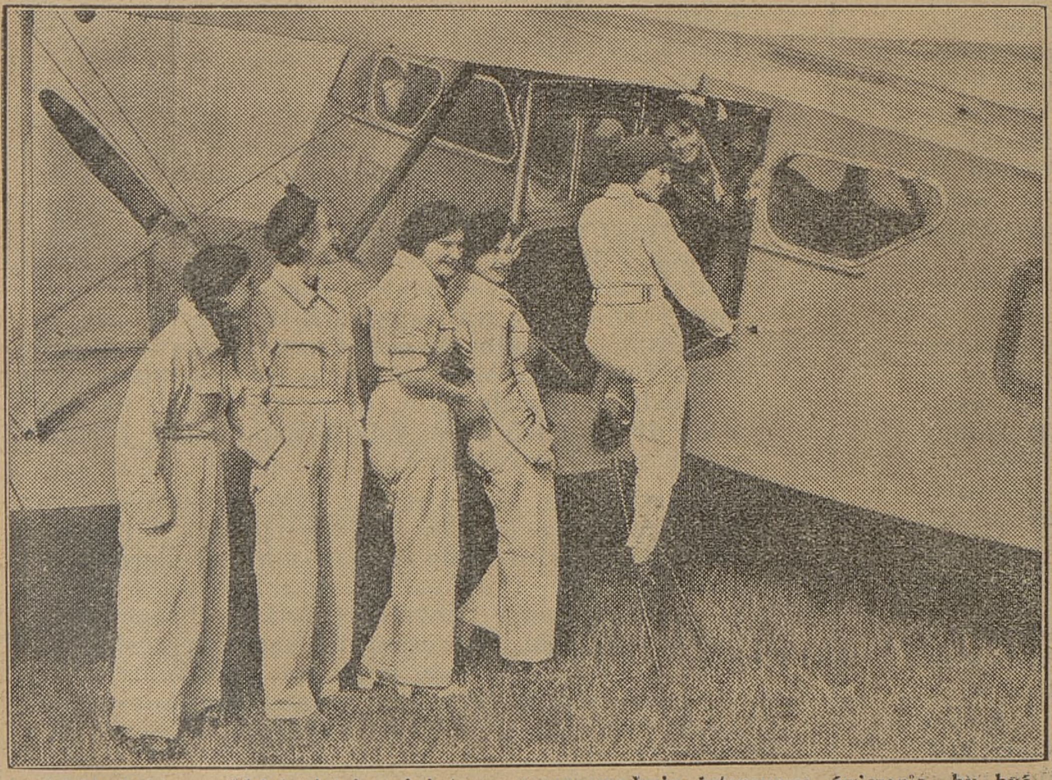
Po chwili Sławicz zrzucił płaszcz i wygodnie ułożył się na owej kanapce, zapalając opiumowanego papierosa.

— Pan nie wychodzi, monsieur? — zapytał stary służący.

— Na razie nie mam zamiaru, a właściwie mam zamiar, ale jest on niewykonalny.

— Niewykonalny, monsieur?

— Bo bezskuteczny, Sylwa, zupełnie bezskuteczny.



Angielskie kobiece oddziały lotnicze już teraz przeprowadzają intensywne ćwiczenia, by być przygotowanymi na wypadek wojny. Szkolą się one przede wszystkim w przewożeniu meldunków, żywności i t. p.

— Jakto, monsieur? Nic nie rozumiem.

— I ja jeszcze nie rozumiem, ale sądzę, że zrozumiem.

Stary służący mrugał szybko powiekami, co miało oznaczać najwyższy wysiłek myślowy.

— Bo jeżeli kogoś śledzę, Sylwa, — ciągnął dalej detektyw — a ten ktoś wie o każdym moim kroku, to takie śledzenie jest bezcelowe, jak myślisz?

— Tak myślę, monsieur, ale jeszcze nie rozumiem. Czy ten Stackpoyle?...

— Tak, ten Stackpoyle, służący Sommersonna, który już nie żyje i jego pomocnik w walce z tymi, którzy także już nie żyją, względnie są zupełnie nieszkodliwi, bo nienaturalni. Ale jeżeli myślisz, że sprawa posunęła się przez to choć o krok naprzód, to muszę cię wyprowadzić z obłędu. Wiem znacznie mniej, niż przedtem, bo przedtem znałem motywy działania, a teraz nie znam ich zupełnie.

— Straszliwy trup?

— Tak.

— Co to jest, monsieur? Umieram z ciekawości...

— Ja też, mogę cię zapewnić. Snuję oczywiście pewne domysły, które teraz zdają się potwierdzać, ale między domysłami a rzeczywistością, jak wiesz, istnieje ogromna różnica, która niezawsze daje się wyrównać...

Detektyw wstał nagle z kanapki i porwawszy kapelusz, zbiegł ze schodów.

Na podwórzu jednak zatrzymał się, patrząc w okno swego pokoju.

Jakoż otwarło się ono po chwili, ukazując Sylwestra.

— Dzwonił, monsieur...

— I co?

— Powiedział: „Proszę powiedzieć panu Sławiczowi, że ostrzegam po raz drugi!".

Detektyw zaklął i wróciwszy do pokoju, ułożył się na powrót na kanapce. Po godzinie znowu wymknął się chyłkiem. Tym razem okno nie otworzyło się już.

— Widać mister Stackpoyle zagapił się... — mruknął Sławicz i korzystając z zapadającego zmierzchu, zmieszał się z tłumem spacerowiczów na ulicy 3-go Maja.

W kwadrans później pukał do skromnego mieszkania na trzecim piętrze czynszowej kamienicy przy ulicy Pańskiej.

Usłyszawszy stereotypowe „proszę", wszedł do małej kuchenki, służącej jednocześnie za sypialnię, jadalnię i salon.

Mężczyzna tegoż wzrostu i budowy, co Sławicz, podniósł się z krzesła, ukazując detektywowi namydloną twarz.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał uprzejmie.

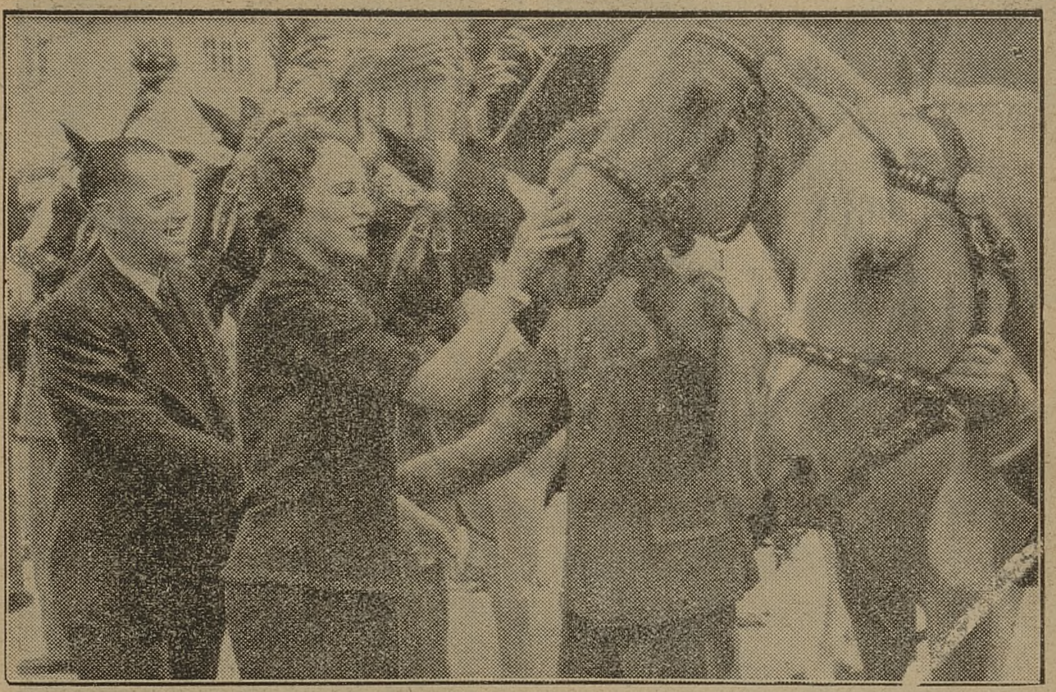
— Pan Dymowicz? Jestem Sławicz. Chciałbym prosić pana o pewną przysługę, oczywiście odpowiednio honorowaną.

Wydobył z portfela nowiutką stuzłotówkę i położył ją koło lusterka, przed którym golił się właściciel mieszkania.

Twarz Dymowicza, zdumiała niesłychanie, mogłaby teraz symbolizować znak zapytania.

Detektyw uśmiechnął się lekko.

— Widzi pan, panie Dymowicz, obiecałem publicznie, że będę na dzisiejszej premierze. Ponieważ chciałbym dotrzymać przyrzeczenia, a dotrzymanie go mogło by być dla mnie niebezpieczne, sądzę, że najlepiej uczynię, gdy przejmę na dziś pańskie funkcje.



Znana w całej Europie mistrzyni jazdy konnej Micaela Busch, żona właściciela olbrzymiego cyrku, otrzymała jako prezent ślubny od swego męża sześć pięknych rasowych wierzchowców

— Pan chciałby przebrać się za strażaka, o ile dobrze rozumiem... — wykrztusił Dymowicz.

— Właśnie, a pan jako spokojny widz mógłby obserwować moje czynności.

— Ależ wylano by mnie ze służby jak amen w pacierzu...

— Skądże znowu? Z pańskich obowiązków wywiążę się bez zarzutu.

— Poznają się na maskaradzie...

— Bynajmniej. Ucharakteryzuję się. Rodzona matka nie odróżni pana ode mnie.

Dymowicz kręcił głową. Detektyw zrozumiał jego obawy.

— Zostawię u pana swoje ubranie.

I nie czekając na zgodę, przebrał się w mgnieniu oka w mundur Dymowicza. Gdy po chwili ukończył charakteryzację przy pomocy dziwacznych przyborów, wyjętych z kieszonkowego nesesera, młody człowiek wykrzyknął ze zdumienia.

— Jakbym spojrzał w lustro... — szepnął.

— A teraz napijemy się! — zawołał wesoło detektyw, dobywając z kieszeni zdjętej przed chwilą marynarki aluminiową buteleczkę. — Ma pan kieliszki?

Dymowicz przyniósł z szafki dwie szklaneczki.

— Pańskie zdrowie!

Młody człowiek, przełknąwszy wyśmienity koniak, oblizał się ze smakiem.

— Delicje! — rzekł i nagle osunął się w przygotowane zawczasu ramiona detektywa.

— Mógłbyś wygadać się, kolego... — szepnął Sławicz, układając Dymowicza na łóżku. — Kto śpi, nie grzeszy...

Zamknął starannie na klucz drzwi mansardy i spokojnie zszedł ze schodów.

XXXI.

PREMIERA „HORSZTYŃSKIEGO"

Czerwicki czuł się tej nocy zbyt zmęczony, by móc cokolwiek przedsiębrać. Podkomisarz widział to i dlatego, gdy opuścili willę Wareckiego, kazał zatrzymać taksówkę przed dworcem. Ugościwszy młodzieńca obficie zakrapianą kolacją, polecił odwieźć go do mieszkania.

Jan runął na łóżko w ubraniu i zasnął w oka mgnieniu.

Gdy obudził się, było już południe. Uświadomił sobie zaraz, że jest to dzień, w którym odbędzie się premiera „Horsztyńskiego", toteż zerwał się niezwłocznie.

Przemywszy oczy zimną wodą, siedział w fotelu i palił papierosa. Myślał o kryjówce Sommersonna, w której niepodzielnie panoszy się teraz zbrodniczy Stackpoyle. Nie wiadomo dlaczego Jan przekonany był, że wszystkie morderstwa, dokonane przez Straszliwego Trupa nie były dziełem inżyniera, a właśnie owego Anglika. Bo że potworna zjawa była tylko narzędziem — nie miał od początku wątpliwości, aczkolwiek nie mógłby poprzeć tego przekonania żadnymi rzeczowymi argumentami. Nie wiedział również, co ma w ogóle myśleć o straszliwym trupie. Zagadka ta była tego rodzaju, że Czerwicki wolał nie zastanawiać się nad nią, czuł bowiem zamęt w głowie jak wówczas, gdy nadaremnie usiłował zrozumieć nieskończoność wszechświata.

W źrenicach jego odbiła się nagle wizja oczu, cudnych oczu kobiecych. Oczu szafirowych i oczu szmaragdowych. Krążyły wśród jakichś oparów i co chwila znikały to jedne, to drugie.

Szafiry, szmaragdy, szafiry, szmaragdy... Jan widział łzy, padające jak grad, ale nie widział, które oczy płakały. Szafiry, czy szmaragdy? Szafiry, czy szmaragdy? I nagle przypomniał sobie, że szmaragdowe oczy były zimne, zimne jak lód i nie płakały nigdy. To szafiry ociekały łzami, szafiry, szafiry, szafiry.

Wybiegł z mansardy, nie zatrzaskując nawet drzwi.

W maleńkiej restauracyjce, gdzie pił czasem kufel piwa, było pusto jak zwykle. Jan patrzył w oczy bufetowej. Były szare, bezbarwne jak pył uliczny, jak kurz. Wtedy spojrzał w twarz. To nie była Jagienka...

I nagle zrozumiał wszystko. Z przeraźliwą jasnością przebiegły przez jego umęczony mózg różne sceny, roje scen. Zobaczył małą, smutną laleczkę, ciśniętą



Scena baletowa z obecnie przez „U fę“ nakręcanego filmu „Majowa noc“

swawolną ręką na fotel, z którego wyłaziły sprężyny. Zobaczył maleńkie serduszko z korala, które minął obojętnie, goniąc nieuchwytne mary. Dlaczego nie podniósł go? Dlaczego nie podniósł?...

Wybiegł i pędził ulicami, roztrącając przechodniów. Posterunkowy nr. 341, który pełnił służbę w tej okolicy, rozłożył już ramiona, by go schwytać, bieg ten bowiem wydał mu się podejrzany. Ale spojrzawszy w jego twarz ,cofnął się, potrząsając bezradnie głową.

Czerwicki wpadł w bramę jakiejś kamienicy i zbiegł po schodach do suteren. Pięść jego uderzyła kilkakrotnie w drzwi, a nie odebrawszy odpowiedzi, cofnęła się. Miejsce jej zajęły barki, które pełniły teraz funkcje taranu.

Po chwili wypadł zamek i młodzieniec z okrzykiem rozpaczy przypadł do smukłego cienia, zwisającego na sznurze z pułapu, jak groteskowa zabawka z choinki.

— Jagienko!... Jagienko!...

Nagły błysk przeciął piwniczne mroki i smukły cień spadł w ramiona młodzieńca.

W godzinę później ocalone szafiry mieniły się cudownymi odblaskami najwyższego uczucia, jakie dać może kobieta mężczyźnie.

— — — — — —

Jak teatr sosnowiecki teatrem sosnowieckim nigdy jego stare mury nie widziały takiego napływu publiczności. Już na godzinę przez rozpoczęciem się premiery wszystkie bilety zostały rozsprzedane, a okienko kasy zatrzasnęło się z triumfem. Galeria zdawała uginać się pod ciężarem setek stłoczonych ciał, których głowy za lada słowem, rzuconym przez jakiegoś dowcipnisia, dworującego sobie z niecierpliwości tłumów, falowały jak łan żyta za podmuchem wiatru.

— Taka niepopularna rzecz i takie tłumy! — zacierał ręce gruby dyrektor, biegając jak w ukropie za kulisami. — No, koledzy, musimy być na wysokości zadania: całe Zagłębie na nas patrzy! Od tej jednej premiery zależeć będzie cały nasz byt. Cały byt, cała przyszłość, rozumiecie?

Czerwicki, otrzymawszy z trudem bilet do ostatniego rzędu krzeseł, wodził wzrokiem po sali. Obecni byli wszyscy obywatele, którzy podpisali ów pamiętny apel do Sławicza, obecny był redaktor „Nowin“, kierownik brygady kryminalnej, jego zastępca, wywiadowcy Stanek, Kocmyra, Filek, posterunkowy nr. 341 po cywilnemu, nawet siwa głowa dorożkarza nr. 73 bieliła się na galerii.

Stojący w drzwiach tuż obok Jana strażak spojrzał przelotnie na niego i uśmiechnął się, nie wiadomo dlaczego. Jego bystre oczy zdawały się przewiercać każdą twarz, biegały systematycznie wzdłuż długich rzędów krzeseł i uparcie wracały na scenę, zasłoniętą zużytą kurtyną.

Gruby dyrektor, wpadający co chwila na widownię, by powitać którąś z przybyłych właśnie grubych ryb, nie byłby zapewne zbudowany, gdyby mógł słyszeć treść rozmów, prowadzonych przyciszonymi głosami, jakby w oczekiwaniu czegoś, co koniecznie musi nadejść. Nikt nie mówił o sztuce; na ustach wszystkich był Sławicz, który jakoś nie pokazuje się mimo przyrzeczenia i — Straszliwy Trup.

Oczy widzów błądziły po twarzach sąsiadów, bliższych, dalszych, jeszcze dalszych. Wszyscy patrzyli na wszystkich, a twarze wyrażały coraz większe zniecierpliwienie, przechodzące powoli w niepokój.

Po pierwszym akcie niepokój stał się nie do wytrzymania. Powietrze naładowane było trwogą, z której nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, a która przecież wstrząsała nerwami wszystkich.

Po drugim akcie lęk począł udzielać się nawet najodporniejszym. Na sali, mimo niebywale nagromadzonych tłumów, zapanował nagle dotkliwy chłód. Ze sceny powiewały jakieś zimne prądy, jakby lodowe, niewidzialne palce wychylały się zza dekoracyj i chwytały za serca i gardła.

Po trzecim akcie ów dziwny chłód sprawił, że większość ludzi drżała. Skądś spośród tłumu dobiegały ciche, przejmujące łkania. Jakaś dziewczyna poczęła nagle spazmatycznie szlochać. Kobiety kryły twarze w dłoniach, mężczyźni wyłamywali palce w stawach i starali się, o ile możności, nigdzie nie patrzeć.

Po czwartym akcie, podczas którego ogólna psychoza udzieliła się aktorom, okropnym akcie, z którego treści nikt nie zdawał sobie sprawy, czuło się, że lada moment wybuchnie panika, że tłumy te porwie powszechny atak histerii i popchnie do czynów nieobliczalnych i szalonych.

Strażak, stojący ciągle w drzwiach obok Czerwickiego, poderwał się nagle z miejsca i elastycznym krokiem podszedł do sceny.

Nagłym ruchem zdjął hełm i wytarłszy twarz chusteczką, na którą nalał kilka kropel jakiegoś płynu z flaszeczki, wyjętej z kieszeni, podniósł rękę w górę na znak, że chce mówić.

Gdy uciszyło się nieco, rzekł dobitnym, mocnym głosem, który słychać było w najodleglejszych kątach sali.

— Proszę się uspokoić. Nic nikomu nie grozi. Jestem Ryszard Sławicz. Raz jeszcze proszę o spokój. Mam wszelkie podstawy mniemać, że wstrząsające wypadki, jakie miały miejsce w Sosnowcu, nie powtórzą się już nigdy. Dziś zakończy się wszystko.

Z setek gardeł wydobyły się okrzyki pełne entuzjazmu, ale detektyw uciszył je ruchem ręki.

— Zaraz rozpocznie się ostatni akt! — rzekł.

Później dopiero miała widownia zrozumieć te dziwne słowa, które wydawały się wszystkim niepotrzebne, a niektórym nawet śmieszne.

Cisza jak makiem posiał. Kurtyna unosi się zwolna... Amelia... Szczęsny...

Czerwicki nie widzi nic, nie słyszy nic. „Zaraz rozpocznie się ostatni akt!“... „Zaraz rozpocznie się ostatni akt!“... „Dziś zakończy się wszystko“... Wszystko, wszystko?...

— ...nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... To był karzeł; skonał, wijąc się, jak robak, na ostrzu żelaznym... „Dziś zakończy się wszystko“... Oczy jak najciemniejsze szmaragdy, oczy jak zamarzła woda, oczy zimne, oczy...

— ...Prawda, że to noc okropna?....

Opuszczone zakamarki starego browaru, w którym gnieździ się potworny zbrodniarz... Tor, mur, okno i ciemne, ponure wnętrze...

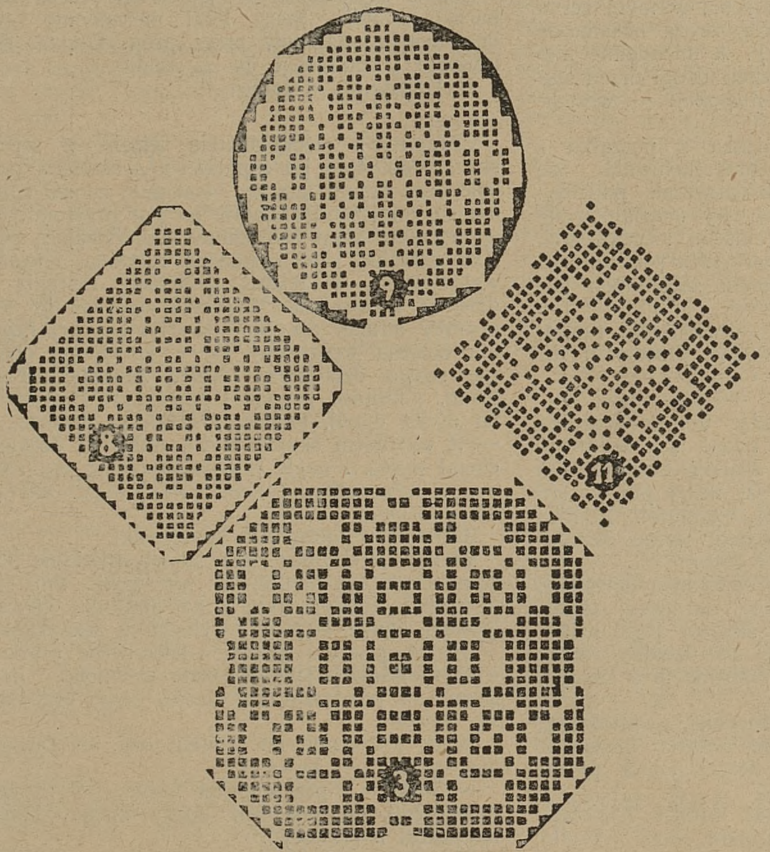
— ...w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jej nie mogą całkiem stargać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia grobowa może jej dać nowe kolory i siły — wilgocią, jak kwiatowi? Czy dlatego niszczy ciało, aby dusza śnić mogła? Więc niszczy coś — dla niczego!

Śmiech potworny, nieludzki zabrzmiał nagle, wypełnił sobą całą salę, zgłuszył obłędne krzyki trwogi, wydobywające się z gardeł ludzkich, zgłuszył odgłos upadku zemdlonych z przerażenia ciał, zgłuszył histeryczne śmiechy i szlochy, paraliżował ruchy, nieznośnie wiercił w bębenkach uszu...

Czerwicki uniósł głowę i zmartwiał.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET



Upiększajmy robótkami nasze wnętrza!

9. Owalna serwetka pod wazonik. Wielkość przy kratce 6 mm 17×19 cm, przy kratce 8 mm 19×23 cm.
8. Kwadratowa serwetka, przy kratce 6 mm wielkość 20×21 cm, przy 8 mm 27×28 cm.
3. Okrągła serwetka pod wazonik. Przy kratce 6 mm wielkość 19×20 cm, przy kratce 8 mm wielkość 19×24 cm.
11. Kwadratowa serwetka. Wielkość przy kratce 6 mm 15×15 cm, przy kratce 8 mm 20×20 cm.

Ogromnie barwna i dekoracyjna poduszka na otomanę lub tapczan.

Wszystkie powyższe wzory są do nabycia w naszej administracji. Cena naturalnej wielkości wzoru na poduszkę 1.20 zł. Wzorki filet po 50 gr za sztukę.

Pończoszki z ananasów

Pewna fabryka w Sydney w Australii przeszła ostatnio do wyrobu pończoch damskich ze sztucznego jedwabiu, fabrykowanego z łupin ananasowych. Jak ogłasza prospekt, pończochy te są piękniejsze i trwalsze od fabrykowanych z jedwabiu.

Sztuczny jedwab wyrabia się, jak wiadomo, z celulozy. Technikowi, czy inżynierowi tekstylnemu, podobnie jak chemikowi jest zupełnie obojętne skąd uzyska celulozę, potrzebną dla jego celów przemysłowych. Może ona pochodzić z kwiatów orchidei, czy też z masy drzewnej. Niewszystkie rośliny posiadają celulozę w stanie nadającym się do produkcji sztucznego jedwabiu. Jedną z przyczyn, dla których roślina bawełniana opanowała tak bezwzględnie rynek włókienniczy, było to, że włókna bawełny posiadają celulozę w stanie prawie chemicznie czystym. Z bawełny też wyrabiano dotychczas najdoskonalszy jedwab sztuczny.

Obecnie, jako czynnik konkurencyjny bawełny, występuje ananas, znany u nas, jako szczególnie cenny owoc, zaś w Ameryce Południowej i Azji, uważany za roślinę pospolitą, z której włókien tubulcy od dawna sporządzali różne materiały. Z włókien liści ananasu fabrykowano np. nici, podobne do konopnych. To dowodzi, że celuloza, zawarta w komórkach ananasu, nadaje się dla celów tekstylnych. Niezadługo więc panie nasze nosić będą pończoszki z ananasu.

Amerykanka zmienia skórę jak kameleon

Do szpitala miejskiego w Kansas City sprowadzona została swego czasu osobliwa chora, 30-letn. Amerykan. Edyta Perry, która uległa niezwykłemu przeobrażeniu koloru skóry. Obserwując chorą, lekarze stwierdzili stałe zmiany w barwie skóry, która pewnego dnia miała odcień niebieski, innego purpurowy, innego różowy lub też brunatny. Zbadana nie objawiała żadnego objawu zatrucia z wyjątkiem przemijającej grypy. Sprowadzono z wybitnych ośrodków uniwersyteckich wybitnych lekarzy, mistrzów medycyny, którzy stali bezradni u łóżka chorej. Pod ścisłą kontrolę wzięto pokarmy, udzielane pani Perry, i nie stwierdzono nic podejrzanego. Dieta chorej nie różniła się niczym od spożywanej przez innych. Po całkowitym wyleczeniu się z nieznośnej febry, chora opuściła zakład szpitalny, a dziesiątki profesorów na wydziałach medycyny opowiada studentom o nowej, rzekomo przez siebie odkrytej chorobie, o nazwie „chemiczne przetwarzanie naskórka".

Kronika kobieca

Jedyny w całym kraju szpital ptaków znajduje się w Portland, Ore. Założycielką szpitala i główną lekarką jest pani Molina Boutlodge, pod której opieką powracają do zdrowia skrzydlaci pacjenci przybywający na kurację z różnych części kraju.

W Turcji liczba kobiet przewyższa liczbę mężczyzn o 7.9 procent, a w dystryktach wiejskich stosunek ten jest znacznie wyższy.

Uśmiech 30-letniej kobiety eskimoskiej ukazuje dziąsła, zaopatrzone w pozostałości zębów, startych do dziąseł ustawicznym żuciem skór zwierząt morskich. Zadaniem kobiety eskimoskiej jest „wygarbowanie" skór na odzież dla całej rodziny, a jak dotąd nie zna ona lepszego sposobu wyprawiania skóry, jak żucie własnymi zębami.



KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

Mały bohater

NOWELA

Pociąg pospieszny nr. 213 pędził z zawrotną szybkością, a ostry zgrzyt kół na lekkich zakrętach toru przerywał ciszę nocną. Większość pasażerów, zająwszy możliwie jak najwygodniejsze siedzenia w jasno oświetlonych przedziałach, drzemała. Nic dziwnego! Powietrze było parne i duszne, a i ten monotonny stukot kół o szyny wywoływał senny nastrój.

W jednym z przedziałów 3. klasy znajdowały się dwie starsze panie — oraz młodsza panienka. Starsze niewiasty zajęte były ożywioną rozmową, zwierzając się wzajemnie ze swych trosk, kłopotów i niepokojów serc matczynych. To nic, że jeszcze przed godziną jedna nie wiedziała o istnieniu drugiej. Przed kilkunastoma minutami poznały się w pociągu i porozumiały się prędko. Rozmowa ich przybrała ton poufnych zwierzeń, kiedy dowiedziały się, że cel ich podróży jest niemal identyczny. Obie bowiem jechały w odwiedziny do swych krewnych.

— Ach, mój syn — mówiła starsza z błyskiem dumy w oczach.

Dzielny to chłopak. Najmłodszy z jej dzieci. Miała wszystkich siedem i Bogu dzięki, głodu nie zaznała. Nie, jak teraz te nowoczesne małżeństwa, dla których jedno dziecko to wielki kłopot. Chcieliby się bawić, używać, ale dzieci — uchowaj Boże! Z lekkim sercem gwałcą przykazania, dopuszczają się nawet strasznych zbrodni. Na świecie dzieją się dzisiaj potworne rzeczy. Wszędzie tylko obraza boska. Oczywiście, jej dzieci stanowią wyjątek. Wychowała je uczciwie. Cztery córki powychodziły uczciwie za mąż i dwóch synów również założyło własne ogniska domowe. Został tylko ten najmłodszy — duma i radość jej starych oczu. Kształcił się na nauczyciela, ale wolał wdziać na siebie mundur żołnierski. Został lotnikiem i był już oficerem. Ale nie tylko zwyczajnym oficerem. Był sławnym lotnikiem, bohaterem przestworzy. Nawet gazety o nim piszą... Wczoraj dostała nagle telegram, że syn miał jakiś wypadek lotniczy. Złamał sobie nogę i coś tam jeszcze! Niezwłocznie więc wsiadła do pociągu i jedzie do syna, aby go pielęgnować. Bo co matka, to nie ktoś obcy...

Druga, widocznie młodsza, niewiasta potakuje jej skwapliwie. O, ona wie o tym dobrze. Matczynego serca nie zastąpi żadne inne. Ona jest tylko prostą, niewykształconą, wiejską kobietą, ale jest uczciwą. I ona jest matką czworga dzieci. I ona jedzie do swego najstarszego syna, bawiącego na wakacjach u jej ojca, który jest dróżnikiem kolejowym na tej właśnie linii, na której pędzi teraz ekspress. Jej dzieci nie są bohaterami, chociaż... O, bo trzeba wiedzieć, że ona miała dziwny sen. I właśnie ten sen sprawił, że niezwłocznie wybrała się w podróż. Jaki to był sen? Sama nie wie dokładnie. Pamięta tylko jego zakończenie. Oto jakiś wielki, o nieokreślonych kształtach, potwór chciał pożreć dużą gromadę ludzi, wśród których była i ona. Kiedy potwór miał rzucić się na nich, nagle zjawił się jej synek, 12-letni Jurek, który odważnie napadł na potwora i zaczął toczyć z nim śmiertelną walkę. Potwór pochwycił jednak Jurka i gniótł go swymi potwornymi łapami. Chłopczyk bronił się rozpaczliwie, wreszcie zaczął wzywać pomocy. Słyszała, jak wołał: „Mamo ratuj." — Chciała pospieszyć swej kruszynie na pomoc, ale nie mogła się ruszyć. Coś sparaliżowało jej członki. Widziała jednak, jak jej Jureczek ostatnim wysiłkiem chwycił potwora pod gardło i ścisnął z całych sił. Potwór zachwiał się i nagle runął martwy, wypuszczając z objęć chłopca. Gromada ludzi zbliżyła się do niej i zaczęła coś mówić. Zrozumiała wreszcie, że wszyscy powtarzają tylko dwa słowa — „Mały bohater." Słyszała to wyraźnie i była w tej chwili ogromnie dumna ze swego synka. Nagle jednak spostrzegła, że jej Jurek leży nieruchomo i cały zalany jest krwią. Krzyknęła na ten widok i — przebudziła się...

— Bo, proszę pani, — mówiła — Bóg wiara, sen mara... Ja tam zabobonną nie jestem, ale zawsze coś w tym jest! Mam takie dziwne przeczucie, że memu synkowi grozi niebezpieczeństwo. Od chwili snu, czuję jakiś dziwny niepokój, a i teraz niepokój ten w mym sercu się zwiększa. Całe szczęście, że za kilkanaście minut dojedziemy do stacji. A mieszkanie mego ojca znajduje się o kilometr drogi przed stacją... Och, ten sen i ten niepokój! — westchnęła.

Tymczasem młoda panienka z początku z dużym zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie przygodnych towarzyszek podróży. Po pewnym jednak czasie jej ukarminowane usteczka wydęły się grymasem lekceważenia. Konwersacje starszych towarzyszek podróży nazwała w myśli plotkowaniem zacofanych kumoszek.

— Sny... przeczucia!?... — wzruszyła ramionami i cofnąwszy się w kąt przedziału udała, że drzemie.

— — — — — — — — — —

Położony tuż przy drodze domek dróżnika kolejowego Zabielskiego, trząsł się w posadach. Gwałtowna burza szalała bowiem nad okolicą. Jakkolwiek Zabielski liczył już 56 lat, tak gwałtownej burzy nie pamiętał. Błyskawica za błyskawicą rozjaśniały nocne ciemności, pioruny bily często i gęsto.

Pozamykawszy dokładnie wszystkie okiennice, Zabielski usiadł na leżance, na której skulony i drżący ze strachu, siedział jego wnuk. Mały Jurek przytulił się do dziadka, drżąc febrycznie i żegnając się nabożnie przy każdym bliższym uderzeniu gromu.

A burza szalała coraz bardziej, gwałtowniej, W pokoju było jasno od światła błyskawic. Za oknami lunął nagle deszcz i huk piorunów wzmógł się jeszcze.

— Boisz się? — spytał wnuka Zabielski.

— Tak — skinął Jurek — i...

— Co?

— Tak mi jakoś... tak dziwnie — wyszeptał i przytuliwszy się do ramienia dziadka, wybuchnął naraz płaczem.

— Cicho, cicho, — uspokajał wnuka Zabielski. — E, wstydź się. Taki duży kawaler i beczy ze strachu, jak mała dziewczynka. Myślałem, że mój Jurek jest odważ...

Nagle straszny huk wstrząsnął ścianami domku, aż szyby zadzwoniły w oknach i tynk z sufitu posypał się na podłogę.

— A Słowo Ciałem się stało! — szepnął Zabielski. — Piorun uderzył gdzieś bardzo blisko. Muszę iść zobaczyć.

I nie zwracając uwagi na struchlałego wnuka, odryglował drzwi i wpadł na zewnątrz. W świetle błyskawic zobaczył coś, co na chwilę ścięło mu krew w żyłach. Oto widocznie piorun uderzył w olbrzymią, rosnącą nad drogą, tuż przy torze kolejowym topolę, strzaskał ją i zwalił na szyny, po których za chwilę ma przemknąć pociąg pospieszny.

Zabielski widział już oczyma wyobraźni straszną katastrofę ekspresu... strzaskane wagony... krew kilkudziesięciu zabitych...

Wzdrygnął się.

Co robić?... Co robić...?

Sam jeden nie zdoła ruszyć olbrzymego pnia.

Naraz błysła mu w głowie pewna myśl. Zawrócił pędem do mieszkania. Spojrzał na zegar. Bogu dzięki, jeszcze cztery minuty ma czasu! Podbiegł do telefonu i zakręcił korbą raz drugi i trzeci gorączkowo, nerwowo. Nic! W słuchawce cisza. Aparat nie działał. Obejrzał się bezradnie po czym pochwycił latarnię i chorągiewkę.

— Dziadku! — dobiegł go płaczliwy krzyk chłopca.

Przystanął.

— Słuchaj Jurku! — zawołał prędko. — Stało się nieszczęście. Piorun zwalił topolę na tor kolejowy, a za chwilę przejeżdżać będzie pociąg pospieszny. Muszę biec, aby go zatrzymać, gdyż inaczej byłaby tu wielka katastrofa. Rozumiesz...? Katastrofa! Wielu ludzi poniosłoby śmierć... Ty nic się nie bój. Ja wnet wrócę...

I pobiegł do drzwi.

Jurek stoi w miejscu i patrzy za odchodzącym szeroko otwartymi oczyma. Słowa dziadka dopiero teraz dochodzą do jego świadomości. Katastrofa... wielu ludzi poniosłoby śmierć... zatrzymać pociąg... Bez słowa protestu patrzy jak dziadek otwiera drzwi, gdy wtem...

Jasny błysk oślepił chłopca, potężny huk ogłuszył go i równocześnie jakaś siła rzuciła go na podłogę.

Jak długo leżał, nie wiedział. Kiedy powstał, w głowie czuł zawrót a w uszach dziwny szum i jakby warkot tysięcy bębnów. W pokoju było ciemno i cicho.

Znowu błyskawica. W jej świetle Jurek zobaczył dziadka. Stary leżał nieruchomo w drzwiach, rozciągnięty przez próg. Dopadł do leżącego i potrząsnął go za ramię.

— Dziadku... dziadku!

Cisza.

Chłopiec z nieokreślonym lękiem w sercu skoczył do stołu po zapałki i z nerwowym pośpiechem zapalił latarkę. Następnie znowu zbliżył się do leżącego. Jakby na pół przytomnym spojrzeniem objął nieruchomo spoczywającą postać dziadka, jego rozłożone ramiona, i twarz wykrzywioną w jakimś grymasie, zastygłą i dziwnie szczerniałą. Wówczas ogarnął go ogromny strach. Szeroko otwartymi z przerażenia oczyma wpatrywał się w zmienione oblicze swego dziadunia. Gdzieś znowu uderzył grom. Chłopiec drgnął i popatrzył w otwarte na oścież drzwi. Dlaczego drzwi są otwarte...?

— Z wysiłkiem skupia myśli. Ach! To dziadek chciał wyjść. I nagle przypomniały się mu słowa: ...Katastrofa... śmierć wielu ludzi... zatrzymać pociąg...

Zatrzymać pociąg — koniecznie!

W umyśle chłopca rodzi się błyskawiczne postanowienie. Rozumiał, że nie wolno mu się namyślać. Chwyta leżącą na podłodze chorągiewkę, bierze latarkę i wybiega z mieszkania.

Deszcz przestał padać i jakkolwiek błyskawice rozjaśniały jeszcze nocne ciemności i huk grzmotów powtarzał się często, burza oddalała się powoli.

Jurek przystanął na środku toru. — Zatrzymać pociąg — który...?

— Aha! — przypomniał sobie. — Pociąg pospieszny, to jest ten nocny kurier, który nadjeżdża z północy...

Bez dalszego namysłu rusza torem w stronę, skąd ma nadjechać pociąg pospieszny nr. 213. Ubiegł kilkanaście kroków zaledwie, gdy oślepiła go błyskawica i huk ogromny wstrząsnął powietrzem.

Przystanął.

— Trzasło! — przemknęło mu w myśli i znowu ogarnął go lęk. Obejrzał się w stronę małego domku.

Wahanie jego nie trwało jednak długo. Nie wolno mu zawrócić. Nie wolno! Rozumiał to dobrze. Bał się tak bardzo, ale tam... tam śmierć okrutna czyha na liczne ofiary. Zatrzymać pociąg — brzmiały mu jeszcze w uszach pełne przerażenia słowa dziadka. Dziadek chciał zatrzymać pociąg. Ale dziadka zabił piorun i dlatego ma stać się wielka katastrofa...? Nie, nie będzie katastrofy. Nie może być. On, Jurek, zastąpi dziadka. Zatrzyma pociąg. Musi!!!

I znowu ruszył naprzód. Nie czuł już żadnej obawy. Potoczył się i upadł, podnosi się prędko i biegnie dalej. Już widzi w dali światełko i słyszy dobrze sobie znany zgrzyt kół o szyny. Unosi więc latarkę i macha chorągiewką. Mignęło się mu jeszcze jakieś światło, do uszu wdarł się ostry gwizd i w ostatnim niemal momencie w mózgu Jurka zaświtała świadomość grożącego niebezpieczeństwa.

— Mamo...!!!

Zgrzyt hamulców zagłuszył pełen trwogi krzyk chłopca.

— — — — — — — — — —

Maszynista Szyperski otarł pot z czoła.

— Uf! — westchnął. — Diabelnie duszne powietrze.

— Nadchodzi burza — zawołał, wychylając się oknem palacz Węglewski.

Jakoż błyskawice zaczęły rozjaśniać ciemne niebo i echo grzmotów stawało się coraz bliższe.

Maszynista popatrzył na mechanizm lokomotywy.

— Osiem minut spóźnienia — psia krew! — zaklął, nie wiedząc, że za chwilę błogosławić będzie okoliczności, które spowodowały małe opóźnienie się ekspresu.

Deszcz zaczął uderzać o szyby okienne i huk piorunów grzmiał coraz głośniej i częściej

A pociąg mknął ciągle naprzód, obojętny na szalejącą wokół burzę i pioruny.

Maszynista Szyperski obojętnie patrzy na, oświetlone mdłym światłem lokomotywy, szyny. Burza miała się już ku końcowi.

— Niedługo będzie stacja i przystanek — myśli, kładąc rękę na rączce hamulca. A trochę przedtem jest budka dróżnika. O, on jedenasty rok jeździ na tym torze i zna doskonale całą trasę.

Jasny zygzak błyskawicy.

— Co do diabła! — zaklął maszynista, gdyż zdawało się mu, że w świetle błyskiwcy w oddali na torze mignął mu się jakiś czarny punkt.

Zanim zdążył zastanowić się nad tym, co by to być mogło, mignęła się mu nagle na torze jakaś postać, wymachiwująca chorągiewką.

— Stop!

Ostry krótki gwizd i zgrzyt hamulców przeszył powietrze. Pociąg zwolnił gwałtownie i przystanął.

Wśród pasażerów powstało zamieszanie. Na skutek gwałtownego zahamowania pociągu, niejeden nabił sobie potężnego guza. Już słychać ich dosadne wyzwiska i klątwy.

— Co to ma znaczyć? Gdzie stacja...? Co się stało...? Co się stało...? — słychać było prędkie niespokojne zapytania i w oknach wagonów ukazały się głowy pasażerów.

Nagle ktoś krzyknął:

— Pociąg przejechał człowieka.

— Co? Gdzie? Jak...? — krzyżowały się pytania.

— Ot tu. Obsługa pociągu niesie go właśnie.

Tak też było w istocie. Rozszarpane częściowo i zniekształcone ciało Jurka przeniesiono przed kierownika ekspresu i złożono je na torze.

— Ależ to dziecko jeszcze — zawołał kierownik pociągu, kiedy światło jego latarki padło na poszarpane ciało chłopca.

— Włóczęga! — mruknął któryś z kolejarzy.

— Smarkacz.

— Szczeniak.

— Dobrze mu. Po co toto się włóczy nocą po torze.

— Milczeć! — krzyknął naraz maszynista Szyperski, który w międzyczasie pobiegł w kierunku stacji i teraz wracał w największym pośpiechu. — Milczeć! — powtórzył oburzony.

A kiedy światło latarek padło na jego twarz, wszyscy spostrzegli, że ta jest blada i dziwnie wzburzona.

Maszynista popatrzył na leżące nieruchomo i zniekształcone przez jego parowóz zwłoki chłopca i prędko otarł brudną ręką łzę w oku.

— Mały bohater, — szepnął z nieznanym u niego rozrzewnieniem.

I przerywanym ze wzruszenia głosem opowiedział w krótkich słowach bohaterski czyn chłopca. Opowiedział jak pobiegłszy do domku dróżnika, zastał go leżącego bez życia, uśmierconego uderzeniem gromu, jak spostrzegł leżącą na torze, powaloną przez piorun, olbrzymią topolę, jak zobaczył w świetle błyskawicy wymachiwującego chorągiewką chłopca. Widocznie mały usiłował zatrzymać pociąg, aby uchronić go od katastrofy.

— Oto... „włóczęga i szczeniak", któremu mo że wszyscy zawdzięczamy życie — zakończył, patrząc groźnie na zdumionych i mocno zawstydzonych towarzyszy.

A kiedy milczeli wszyscy, powtórzył raz jeszcze z naciskiem:

— Mały bohater.

W tej chwili jakaś niewieścia postać przepchnęła się do leżącego nieruchomo, zmasakrowanego chłopca.

— Jurek! — krzyknęła rozpaczliwie. — Sen... Mój sen się sprawdził.

I zemdlona osunęła się na martwe ciało swego syna-bohatera.

Poważne twarze kolejarzy drgały wzruszeniem. W milczeniu odkryli głowy.

KONIEC

ZE ŚWIATA

Fantastyczne perypetie „królowej pustyni"

W Syrii, w Damaszku mieszkała piękna dama, Francuzka, którą przezwano „królową pustyni". Dama ta grała bardzo wybitną rolę w politycznym życiu Syrii. Przy jej pomocy udało się unieszkodliwić jednego z najbardziej niebezpiecznych wodzów koczowniczych, zbójeckich beduińskich plemion.

W ostatnich czasach „królowa pustyni" znów zwróciła na siebie ogólną uwagę. Przyczyną tego stało się zamordowanie jej pierwszego męża, hrabiego Pierre d'Andurain. Hrabia został zamordowany trzema pchnięciami szytetu. Początkowo przypuszczano, że przyczyną zbrodni była chęć rabunku. Hrabia był bardzo bogatym człowiekiem, miał wspaniały luksusowy hotel w Damaszku i w dniu śmierci miał przy sobie większą sumę pieniędzy. Dalsze śledztwo wykazało jednak, że przyczyna zbrodni leżała gdzie indziej. „Królowa pustyni" rozwiodła się z hrabią d'Andurain przed kilku laty i wyszła za mąż za bardzo potężnego i bogatego wodza Beduinów Sulejmana. Z miłości do Sulejmana przyjęła mahometanizm. Po kilku latach szeik Sulejman zmarł na skutek jakiejś dziwnej choroby. Rodzina zmarłego podejrzewała, że został otruty i przypuszczała, że trucicielką była „Królowa pustyni". „Królowa pustyni" została skazana na śmierć. Wówczas zwróciła się o pomoc do francuskiego komisarza. Niestety, komisarz nie mógł jej wiele pomóc, ponieważ wyszedłszy za mąż za Beduina, straciła obywatelstwo francuskie, a co za tym idzie i prawo do opieki władz francuskich.

Wtedy przyszedł jej z pomocą pierwszy, porzucony przez nią mąż, hrabia d'Andurain. Hrabia wykradł swą byłą żonę z beduińskiego więzienia i powtórnie ją poślubił, wobec czego stała się znów obywatelką francuską i mogła znaleźć schronienie we francuskim konsulacie.

Tym sposobem szlachetny hrabia d'Andurain uratował życie żonie, która nim niegdyś wzgardziła. Prawdopodobnie to właśnie stało się przyczyną jego śmierci. Zamordowała go rodzina otrutego wodza Beduinów, nasyłając wynajętych zabójców przez zemstę.

Miasto bez żebraków

Miastem, które znajduje się w tym wyjątkowym położeniu, jest Kopenhaga. Władze miejskie zdołały niemal całkowicie wytępić plagę żebractwa przez umieszczenie najbiedniejszych w przytułkach lub przez wysłanie zdolnych fizycznie na wieś do pracy zarobkowej. Na ostatnim zebraniu rady miejskiej, poświęconym ustalaniu budżetu na nowy rok 1938 ,burm. stolicy duńskiej mógł z całą satysfakcją oświadczyć, że gmina jego nie potrzebuje odtąd łożyć ani korony na walkę z plagą żebractwa.

Obserwatorium na Popie - Iwanie

Otwarte w końcu lipca br. obserwatorium meteorologiczno-astronomiczne na szczycie Popa-Iwana (2026 m. npm.) w Czarnohorze, zajmuje pokaźne miejsce w nielicznej rodzinie wysokogórskich obserwatoriów w Europie, jako trzecie z rzędu obserwatorium astronomiczne, a szóste co do wysokości obserwatorium meteorologiczne, Obserwatorium zostało ufundowane przez L. O. P. P. z inicjatywy p. generała I. Berbeckiego i obecnie oddane Państwowemu Instytutowi Meteorologicznemu.

Prace nad budową obserwatorium w bardzo ciężkich warunkach terenowych i klimatycznych (sezon budowlany trwa najwyżej od połowy czerwca do połowy września) ciągnęły się prawie trzy lata.

Gmach obserwatorium zawiera w części głównej, dwupiętrowej, pracownie meteorologiczne wraz z tarasem i wieżyczką do przyrządów oraz pokoje mieszkalne. Obok stojąca wieża astronomiczna również o trzech kondygnacjach, zawiera pod ruchomą kopułą największy i najprecyzyjniejszy w Polsce astrograf, czyli zespół lunety i kamery fotograficznej, wraz ze skomplikowaną aparaturą elektryczną do jego obsługi. Poza tym z budynkiem łączy się parterowe skrzydło, mieszczące kotłownię do ogrzewania centralnego (przez okrągły rok), elektrownię o znacznej mocy, oraz warsztaty.

Załogę obserwatorium prócz kierownika z rodziną, meteorologa, mechanika i kucharza stanowić będą zmieniający się co kilka tygodni astronomowie. Załoga ta, zwłaszcza w okresie niepogód jesiennych i wiosennych, wieść będzie swą pracę w zupełnym odosobnieniu. Dla komunikacji w długim okresie zimowym wyposażono członków załogi w znakomity sprzęt narciarski. Jedynym łącznikiem poza tym będzie nowoczesna radiostacja, utrzymująca na falach ultrakrótkich stają łączność ze Stanisławowem.

ŚWIAT i ŻYCIE

Ile jest białych kruków na świecie

Nie darmo bibliofil, znajdujący ciekawy, rzadko spotykany egzemplarz książki, mówi o nim jako o „białym kruku". Wyrażenie to wzięte jest całkowicie z przyrody. Jak wykazują badania ornitologów, na świecie istnieje kilka okazów białych kruków, których liczba nie przekracza jednak 150 sztuk, podczas gdy kruków czarnych jest około 12 milionów. Dotychczas największą ilość białych kruków bo 15 naliczono w tundrach Alaski.

W Polsce zapiski o zaobserwowanym w Puszczy Świętokrzyskiej białym kruku datują się od 1546-go roku.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łańcuch wyrazów
ul. Hel.

Ułożyć łańcuch wyrazów o następującym znaczeniu:

1. Północno-zachodnia część Ameryki Półn.
2. Podanie o zamierzchłej przeszłości
3. Miasto powiatowe w woj. kieleckim
4. Bryła geometryczna, której środek jest równo oddalony od boków
5. Człowiek zajmujący się łowieniem ryb.

Powyższy łańcuch wyrazów należy porozdzielać względnie połączyć w ten sposób, by powstało 8 wyrazów o następującym znaczeniu:

1. Samogłoska
2. Służy do podpierania
3. Papież bierze na głowę
4. Budynek
5. Szybkie przesunięcie ciała ludzkiego
6. Pomieszczenie dla pszczół
7. Miara powierzchni (l. mn.)
8. Zbiornik na benzynę w samochodzie.

Jeżeli jeszcze raz przerwiemy ten łańcuch wyrazów, otrzymamy 6 nowych wyrazów o następującym znaczeniu:

1. Zbiorowisko drzew
2. Gaz bojowy
3. Pierwiastek emanujący promienie
4. Miasto na Syberii
5. Noszą krótkowzroczni
6. Jezuita — poeta znany z nieudolnych wierszy (XVIII w.)

Wizytówka
ul. F. Gałecki (czł. Warsz. Kl. Szar.)

AZA ROWUCKA WILNO

Kto i skąd?

Litery poprzestawiać tak, by otrzymać rozwiązanie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 16 września br.

Rozwiązanie zadań z nr. 35 „Moich Pow.":

I. Logogryf:

W **A** **L** C
A **F** **R** A (wsp.)
L **E** **D** A
R E **K** **S**
F R **Y** **C**
R O **K** **I**

Oznaczone litery czytane na przemian w dół; Alfred Ksycki.

II. Szarada: Tulipan.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Lenart T. — Rakowice, Galicka — Pakość, Wilecki Henryk — Wilno, Aleksijenkówna Aleksandra — Szamotuły, Baśka Pisulska — Lwów.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Galickiej z Pakości i Wileckiemu z Wilna.

Radio

Niedziela, dnia 11 września 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.45 Koncert z płyt 12.03 Poranek muzyczny 13.00 „W setną rocznicę urodzin Asnyka" — audycja literacka 13.30 „Po wywczasach" — muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Muzyka (płyty) 17.10 Ryszard Strauss: Sonata na wiolonczelę i fortepian 17.40 Tygodnik dźwiękowy 18.10 Podwieczorek przy mikrofonie — transmisja z D. W. R. 20.05 Transmisja z Lublina Kongresu Młodej Wsi woj. lubelskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja 22.00 „Rigoletto" — Giuseppe Verdi'ego.

Poniedziałek, dnia 12 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 8.10 Komunikat meteorologiczny dla uczestników międzynarodowych zawodów balonowych o puchar Gordon Benetta 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Muzyka francuska (płyty) 15.15 Bogactwo pośmiertne Tut-tankh-amena — pogadanka dla dzieci starszych 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 Konstanza, Pireus, Istambul — felieton wygłosi Stanisław Sumiński 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Pieśni w wykonaniu Jana Trzaski (z Łodzi) 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Gra Jean Françaix — fortepian 19.30 „Z przeszłości" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Wtorek, dnia 13 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 8.10 Komunikat meteorologiczny dla uczestników międzynarodowych zawodów balonowych o puchar Gordon Benetta 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Muzyka baletowa 12.03 Audycja południowa 15.15 Na szerokim świecie — audycja dla dzieci starszych w opracowaniu Kazimierza Plucińskiego (z Poznania) 15.45 Wiadomości gospodarcze 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 „Od Tatr do stratosfery" — opowiadanie K. Jodko-Narkiewicza 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital fortepianowy Mieczysława Münza 19.00 Duety operowe 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 W 150 rocznicę odsłonięcia pomnika Jana III Sobieskiego w Łazienkach Królewskich w Warszawie 22.05 Pięć wieków dawnej muzyki — XIV (ostatnia) audycja — Jan Sebastian Bach.

Środa, dnia 14 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Wolfgang Amadeusz Mozart — kwintet klarnetowy A-dur 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Walce, intermezza i serenady 16.45 Okręty podwodne w wojnie na morzu — odczyt 18.10 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 19.00 Pieśni polskie 19.30 Noc letnia w Neapolu — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Józefa Turczyńskiego 22.00 Koncert symfoniczny (transmisja z Berlina).

Czwartek, dnia 15 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Moniuszko dzieciom — poranek dla szkół powszechnych 11.25 Muzyka fińska (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 Po drogach i ścieżkach Polski — pogadanka dla dzieci 16.00 Muzyka (płyty) 16.15 Audycja dla liceów: „Skąd i jak czerpiemy wiedzę o rzeczywistości społecznej?" — odczyt wygłosi prof. Florian Znaniecki z Poznania 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Polskie pieśni 18.30 „Dobrali się w korcu maku" — farsa mistrza Pathelina (Francja) 19.10 Recital wiolonczelowy Waleriana Deca 19.30 Pogadanka aktualna 19.40 „Z życiem panowie!" — koncert rozrywkowy 21.10 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, dnia 16 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Fragmenty z oper Bizeta (płyty) 15.15 Audycja dla dzieci: Bajki — wygłosi Mariusz Maszyński 16.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" pod dyrekcją Dionizego Dobkiewicza 17.00 Muzyka taneczna (płyty) 18.10 Pociąg do nieba — audycja słowno-muzyczna Władysława Krzemińskiego 19.00 Koncert kameralny 19.35 Wspomnienia z wakacji — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka lekka 22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, dnia 17 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Śpiewajmy piosenki 11.25 Ryszard Strauss — koncert 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Za siedmioma górami" w wykonaniu dzieci ociemniałych z Lasek 16.00 Koncert rozrywkowy 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Nasz program 18.10 Słynni pianiści w roli kompozytorów — koncert 19.00 Ciekawe nagrania płytowe 19.30 „Z pieśnią i tańcem przez Ziemię Krakowską" 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Z filmów i operetek" — koncert 22.00 Godzina niespodzianek.

Humor

NAJWYŻSZY CZAS

Żona profesora, do męża zajętego pracą:
— Czy ty wiesz, co dzisiaj za dzień?
Mąż: — Nie, kochanie.
Żona: — Ależ Jasiu, dzisiaj upływa dwadzieścia pięć lat od dnia naszych zaręczyn.
Mąż w roztargnieniu: — Dlaczegoś mi tego wcześniej nie powiedziała? Przecież w takim razie chyba najwyższy czas, żebyśmy wzięli ślub.

DAR WYMOWY

Rzecz dzieje się w handlu ptaków.
Klientka: — Czy tylko ta papuga naprawdę umie gadać?
Sprzedawca: — Jeszcze jak!... Jej poprzednia właścicielka sprzedała ją tylko dlatego, że jej nigdy nie chciała dopuścić do słowa.

ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Rodzina pewnego profesora M... powiększyła się. Pan profesor wpada jak bomba do pokoju i woła z entuzjazmem:
— Urodził mi się syn!... I to w dodatku chłopiec!

MA CZAS

— Nie, panie,. Bezwarunkowo nie. Póki się oficjalnie nie zaręczę, nie dam się pocałować żadnemu mężczyźnie.
— Mogę poczekać. W każdym razie, gdy pani się zaręczy, proszę mi zaraz dać znać.



— Mamusiu, popatrz, poduszeczka z szpilkami chodzi sama!...

NIEOSTROŻNOŚĆ

Na ulicy w Walencji Pedro spotyka swego przyjaciela Juana.
— Mam już dość tego nędznego życia! — woła Pedro. — Oto rewolwer, zabij mnie!
— Nie, mój drogi, tego nie zrobię, ale jeśli chcesz skończyć z życiem, dam ci dobrą radę. Idź do lokalu partii anarchistycznej i zawołaj: „Niech żyje Franco!" W ciągu sekundy przeniesiesz się na tamten świat.
Pedro zastosował się ściśle do tych wskazówek. Otworzył z hałasem drzwi, wbiegł na salę i krzyknął:
— Niech żyje Franco!
Wśród obecnych zapanowała panika.
— Milcz, idioto! — syknął ktoś. — Wsypiesz nas wszystkich!

GRZECZNOŚĆ

Powieściopisarz X uchodzi za wzór dobrych manier. Opowiadają, że pisząc przed paroma dniami do swego wydawcy list z prośbą o zaliczkę, zaczął go tak:
„Szanowny Panie Dyrektorze! Proszę mi wybaczyć, że z powodu wielkich upałów, piszę ten list bez kołnierzyka i z zawiniętymi rękawami koszuli".

WOLNY BIEG

Na dziedzińcu koszarowym odbywa się lekcja gimnastyki, którą prowadzi pan kapral. Rekruci leżą na plecach, czekając na komendę.
— A teraz, — woła kapral — podnieście obie nogi i wymachujcie tak, jakbyście jechali na rowerze.
Wszyscy spełniają rozkaz za wyjątkiem pewnego młodzieńca, który leży spokojnie z wyciągniętymi nogami.
— Hej, rekrut Puciak, dlaczego nie machacie? — krzyczy podoficer.
— Bo ja, panie kapralu, mam rower z wolnym biegiem.

ZAGADNIENIE

Profesor Klapsiński jest bardzo roztargniony. Pewnego dnia staje przed biurkiem, mrucząc:
— Hm, teraz jestem w kłopocie. Córka telegrafuje mi, że zaszło u niej radosne zdarzenie, ale nie wspomina, czy to chłopak czy dziewczyna. Teraz nie wiem, czy jestem dziadkiem czy babką...

DALEKI ZACHÓD

Śniegi stopniały i po półrocznej przerwie do miasteczka Atlas-City zawitał pierwszy pocztylion. Przywiózł listy, tytoń, i świeże wiadomości ze świata. Traperzy przyjmują go gościnnie.
— Gdzież jest wasz dawny szeryf? — pyta pocztylion.
— Nie ma go. Zawieszony w czynnościach za rozbój.
— Któż go zawiesił, skoro tu nie ma innej władzy?
— Samiśmy go zawiesili. O, na tym dębie.

W SERCU AFRYKI

Podróżnik opowiada o swoich przygodach w Afryce. Mówi właśnie o trudnej przeprawie przez rzekę w głębi dżungli, gdy w tym jedna ze słuchaczek odzywa się z przejęciem:
— Mój Boże, jak łatwo moglibyście byli utonąć!
— Utonąć? O, nie! — uspokaja ją podróżnik.
— To niemożliwe! Do tego przecież krokodyle nigdy by nie dopuściły!

SZCZĘŚCIE

— Powiadam wam, — chwali się Hipek — ja mam diabelne szczęście. Wczoraj dostałem czarny garnitur, a dziś umarła moja ciotka.

W MOSKWIE

— Towarzyszu komisarzu, przyłapaliśmy tego osobnika na bardzo podejrzanej czynności...
— Cóż on robił?
— Jadł!

DOSTAWCA

Pewien lekarz umarł i stanął przed wrotami raju.
— Czym byłeś za życia? — zapytał go św. Piotr.
— Lekarzem.
— Wejście dla dostawców przez schody służbowe!

MIĘDZY JAROSZAMI

— Jak tam pański ogródek warzywny, panie Brzusiak?
— Zjadłem go wczoraj na obiad!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.